WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 30 (252)
Rok VI
31 VII 1966 r.

1000 lat narodowej kultury

POEZJA WALKI I PROZY CODZIENNEGO DNIA

Jeśli mówimy — tysiąc lat narodowej kultury — to o czym właściwie myślimy? O literaturze— tej, która pozostała na trwałe w podręcznikach szkolnych i w pamięci każdego Polaka, który chodził do szkoły.

A może myślimy o kształcie sztuki ludowej, zmieniającym się, a przecież wciąż wynikającym z charakteru, z życia narodu zamieszkującego ziemie między Bugiem a Odrą: o kolorach ludowych strojów, o kunsztowności kurpiowskich czy łowickich wycinanek, o smutnej zadumie wiejskich smętków, o urzekającej melodii kujawiaków czy o porywającym rytmie oberka?

A może tysiąc lat narodowej kultury to przede wszystkim odbicie dziejów narodu, jego zwycięstw i klęsk, jego radości i smutków? Bo przecież w tym właśnie — w kochaniu za miliony i w cierpieniu za miliony — zawarta jest treść prawdziwej wielkiej sztuki...

A może tysiąc lat narodowej kultury to bilans innych jeszcze problemów? Może chodzi tu o kulturę całego narodu, kolejnych jego pokoleń, o powszechność rozumienia i umiłowania piękna i treści dzieł sztuki, o wiązanie osiągnięć twórców z życiem, o to, by powszechnie umieć się cieszyć skarbami kultury, by stanowiły one ważny element zwyczajnego dnia? Może kulturalne osiągnięcia oceniać trzeba przede wszystkim oświatą społeczeństwa?

Jak w systemie naczyń połączonych — w bilansie tysiąca lat kultury ważne jest wszystko i wszystko decyduje o poziomie, o bogactwie kulturalnego dorobku.

Warto zdać sobie sprawę właśnie z tej zależności. Pod tym kątem spojrzeć na dorobek minionych wieków i ostatnich dwudziestu dwóch lat. Lat, o których mówimy, że są ukoronowaniem tysiącletniej historii.

Spojrzenie wstecz

Jesteśmy — jak każdy naród — dumni ze swego kulturalnego dorobku. Być może nawet dumni szczególnie ze względu na specyficzny charakter naszej kultury. Ze względu na jej polskość, jak to określamy chętniej. Czego jak czego bowiem, ale patriotyzmu, zaangażowania w sprawy narodu, więzi z ludowymi zwyczajami, wierzeniami, poglądami kulturze polskiej, to znaczy przede wszystkim literaturze (ale nie tylko — wspomnijmy malarstwo Matejki i Grottgera, muzykę Chopina i Szymanowskiego) — nigdy nie brakło. Od Odrodzenia, poprzez Oświecenie i Romantyzm, aż do poezji Jasieńskiego Broniewskiego i Tuwima, do plakatów Szczuki i Trepkowskiego, do najlepszych filmów dwudziestolecia — w kulturze polskiej decyduje o jej treści pasja patriotycznego i społecznego zaangażowania.

Ta pasja stanowiła o sile oddziaływania polskiej sztuki na społeczeństwo. Wyliczyć tu można setki przykładów. Choćby ulotne pisma Jasińskiego w okresie insurekcji, które stały się powodem niejednej manifestacji warszawskiego ludu. Choćby muzykę Chopina, o której mówiono, że to „armaty ukryte w kwiatach". Po wybuchu powstania listopadowego kursowało po Warszawie powiedzenie: „Słowo stało się ciałem, a „Wallenrod" — „Belwederem". A wiersze Broniewskiego na wiecach robotniczych?

Zrealizowane w pełni po stu dopiero latach marzenie Mickiewicza „zbłądzeniu pod strzechy" jego ksiąg cytowane było i wspominane tysiące razy jako świadectwo rewolucji kulturalnej w naszym kraju.

Pisząc o dorobku naszej kultury, nie możemy zapominać o tym właśnie: o jej odbiorcach, o jej zasięgu, który dla wielkości i bogactwa dorobku kulturalnego ma znaczenie tak zasadnicze, jak skala talentu twórców.

Kultura — znaczy oświata

Oczywiście, trudno mówić o powszechnym zasięgu oddziaływania kulturalnego w minionych wiekach, kiedy kultura szerzyła się i kwitła w określonych, wąskich przecież kręgach ludzi wykształconych. Tak wówczas układało się po prostu życie ludzkości i nie na miarę sił ani genialnych twórców, ani genialnych przywódców narodu było zmienić gruntownie istniejący porządek. Choć przecież właśnie literatura — i ta piękna, i ta walcząca, polityczna — miała zawsze na sprawy społecznej krzywdy i ludzkich praw do oświaty najbystrzejsze spojrzenie, najwrażliwsze serce.

W Europie XX wieku do elementów codziennego dnia ludzkości weszła prasa, potem radio, a wreszcie telewizja. Współcześni teoretycy kultury lubią zastanawiać się nad przełomem, jakie w rozwoju kultury wprowadziło upowszechnienie masowych środków przekazu kulturalnego: prasy, radia, filmu, telewizji. Niektórzy wyciągają z tego faktu alarmujące wnioski o obniżeniu poziomu twórczości kulturalnej, o niebezpieczeństwach kultury masowej jako kultury dla maluczkich.

A przecież — jeśli chodzi o nasze, polskie sprawy — porównanie choćby dwóch dwudziestoleci XX wieku — lat 1918—1939 i lat 1945—1966 dowodzi, że sedno osiągnięć czy niepowodzeń leży nie w masowości czy elitarności treści kulturalnych, lecz w wychowaniu odbiorców, w ich kulturze, w ich zainteresowaniach. Leży przede wszystkim — w oświacie społeczeństwa.

Prawda — w latach międzywojennych powstawały w polskiej kulturze dzieła trwałe, wielkie i piękne. Że wymienimy tylko twórczość poetycką Leśmiana, Tuwima, Broniewskiego, powieści Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, muzykę Szymanowskiego, twórczość dramatyczną Szaniawskiego, Morstina... A przecież wszyscy ci twórcy masowe nakłady swych dzieł, miliony czytelników, widzów i słuchaczy zdobyli dopiero w Polsce Ludowej.

Proste porównanie: w roku 1937 nakład wszystkich wydanych książek i broszur, łącznie z pamiętnymi, najbardziej masowymi zeszytami seryjnych, sensacyjnych powieścideł, wyniósł 29,2 mln egzemplarzy. W 1964 r. liczba wydanych egzemplarzy wynosiła 89,3 miliona. Nie dysponujemy dokładniejszymi danymi, dotyczącymi liczby widzów w teatrach, słuchaczy w salach koncertowych. A przecież nie trzeba liczb, by widzieć, jak wzrosło w porównaniu z latami przedwojennymi zainteresowanie tymi imprezami w całym kraju. Nie mówiąc już o naturalnym, wynikającym z postępu techniki, burzliwym rozwoju kin czy o wzroście zasięgu radia.

To nie wynika tylko z nowoczesności współczesnego życia. To wynika przede wszystkim z innego niż przed wojną oblicza społeczeństwa, jego kultury, jego stosunku do spraw kulturalnych, jego wiedzy.

Jeżeli w Polsce przed wojną 73 proc. uczniów szkół wiejskich zdobywało w szkole tylko podstawowe, elementarne wiadomości — takie jak umiejętność czytania, pisania i liczenia, bo 73 proc. uczniów ze wsi uczyło się w szkołach niepełnych, a więc kończyło swą edukację na II—IV klasie — to jak szerokie mogły być zainteresowania kulturalne ludności wiejskiej? Jeśli w latach międzywojennych zaledwie 14 proc. młodzieży w wieku 14—17 lat uczyło się, a więc zdobywało wykształcenie wyższe niż podstawowe — to jak powszechna mogła być umiejętność samodzielnej oceny kulturalnych wartości? Nie mówiąc już o tym, że kultura potrzebna jest jak chleb, ale ludziom sytym i że bezrobocie i nędza stanowiły w dostępie do dóbr kulturalnych zaporę najtrudniejszą do przebycia.

Nasza rewolucja kulturalna, którą się szczycimy, która daje o sobie znać ze wszystkich porównań, ze wszystkich statystyk, ze wszyst-

(CIĄG DALSZY NA STRONIE 4)

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

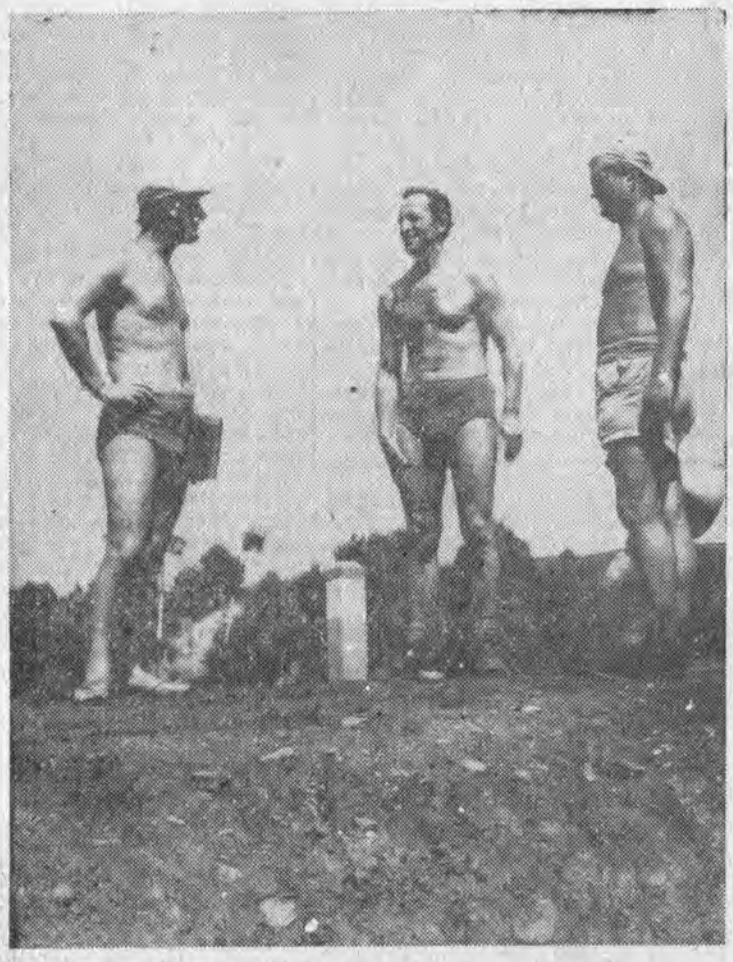

Reżyser Henryk Kluba, aktor Franciszek Pieczka oraz st. asyst. kier. prod. Zbigniew Breitkopf.

„CHUDY I INNI"

...to tytuł nowego filmu realizowanego w Kolnie przez grupę filmowców z zespołu „Syrena" według scenariusza WIESŁAWA DYMNEGO. Film jest debiutem reżyserskim HENRYKA KLUBY. Operatorem jest WIESŁAW ZDART, kierownikiem produkcji KONSTANTY ŁEWKOWICZ. Główną rolę w filmie odtwarza WIESŁAW GOŁAS. M. in. występuje również znany w województwie rzeszowskim b. aktor Teatru im. Wandy Siemaszkowej MIECZYSŁAW STOOR i inni.

TEKST I FOT. M. KOPEĆ

Mieczysław Stoor

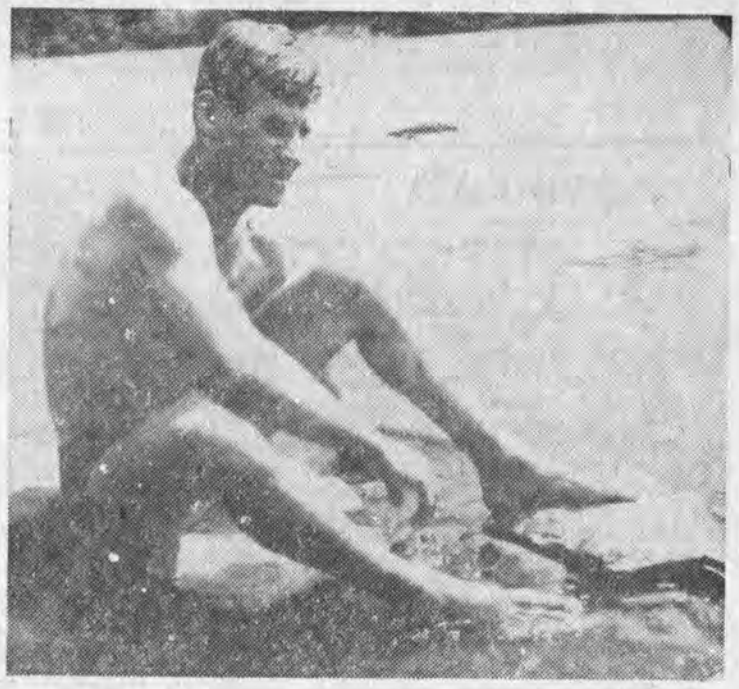

Wiesław Gołas

Scena zbiorowa na moście z filmu „Chudy i inni" w reż. Henryka Kluby.

Michele Prisco — laureatem „Premio Strega"

Tegorocznym laureatem „Premio Strega", jednej z najpoważniejszych włoskich nagród literackich, został Michele Prisco za swą książkę „Una spirale di nebbia". Jest to powieść psychologiczno-obyczajowa, w której autor ukazuje kryzys rodziny i małżeństwa w dzisiejszym społeczeństwie włoskim. Punktem wyjścia powieści jest śmierć Valerii, którą przypadkowo lub umyślnie zabił jej mąż.

Dochodzenie prowadzone w tej sprawie ujawnia stosunki panujące nie tylko w rodzinie zmarłej, lecz również w życiu wielu innych par małżeńskich, poczynając od sędziego śledczego, a kończąc na krewnych i przyjaciołach.

Powieść ta — pisze „Unita" — zawiera wszystkie elementy składające się na dobrą książkę: interesującą akcję, problem małżeństwa, tak istotny w społeczeństwie, w którym nie ma rozwodów.

Awangardowy poeta radziecki, Eugeniusz Jewtuszenko w ciągu ostatnich miesięcy odbył szereg podróży zagranicznych, odwiedzając aż 7 krajów. Był m. in. w Australii, Senegalu i Szwecji — wszędzie witany i przyjmowany z gorącym entuzjazmem przez wielbicieli poezji. Obecnie Jewtuszenko pragnie wszystkie swoje wrażenia z podróży i spotkań przekazać czytelnikom.

Na zdjęciu: Eugeniusz Jewtuszenko przy pracy.

CAF — TASS

Witold Szymczyk

ZBRODNIARZ NIE UKARANY

Po ulicach Hamburga chodzi i jeździ pewien starszy pan. Nazywa się Bruno Streckenbach i jest urzędnikiem handlowym. Prosperuje nie najgorzej, korzystając z wszelkich udogodnień, jakie ludziom jego pokroju stwarza rząd NRF.

Bruno Streckenbach był kiedyś w Polsce. Okres swego pobytu tutaj nazwał podczas uroczystego pożegnania, jakie urządził mu generalny gubernator Hans Frank „najpiękniejszym epizodem swojego życia..., którego nigdy nie zapomni".

Nie wiem, co dzisiaj myśli o tym „epizodzie swojego życia" ex-SS Gruppenfuehrer i generał porucznik Waffen SS, Bruno Heinrich Hugo Streckenbach. Wiem tylko, że do dziś okres ten opłakują polskie matki, że w tym okresie tysiące dzieci polskich straciło swoich rodziców, że kiedy wracamy pamięcią do tamtych dni, na myśl o poległych i pomordowanych, budzi się w nas uczucie smutku i hołdu, a jednocześnie gniew i oburzenie na tych, którzy byli ich zabójcami.

Niedawno gazeta nasza publikowała dwa materiały ściśle związane z okresem, który Streckenbach nazwał „najpiękniejszym w swoim życiu". Jeden z nich był wspomnieniem więźnia politycznego opisującego wielką egzekucję osadzonych w więzieniu rzeszowskim Polaków, jaka miała miejsce 26 VI 1940 r., drugi — to komunikat prokuratora wojewódzkiego podający długi rejestr zbrodni popełnionych na terenie naszego województwa przez hitlerowców i wzywający do uzupełnienia tego rejestru szczegółowymi informacjami. Obie te publikacje mają ścisły związek z osobą hamburskiego handlowca, mimo że ani razu nie pada w nich jego nazwisko.

Sylwetkę tego człowieka kreśli wydana przez Zachodnią Agencję Prasową książka Kazimierza Radziwończyka „Zbrodnie generała Streckenbacha", książka, która poza ujawnieniem przestępstw popełnionych przez tego SS-owca zawiera wiele szczegółów o metodach i organizacji terroru hitlerowskiego w naszym kraju w roku 1939 i pierwszych latach istnienia tzw. Generalnej Guberni. Autor książki na podstawie dokumentów udowadnia, że eksterminacja innych narodowości leżała w planach III Rzeszy i była szczegółowo opracowana jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Kiedy wojska niemieckie ruszyły na Polskę w ich szeregach znajdowały się specjalne, oddziały które miały na terenach okupowanych wykonywać „określone zadania narodowościowe i polityczne". Jednym z nich miało być „oczyszczenie" gruntu z żydostwa, inteligencji, duchowieństwa, arystokracji i oczywiście komunistów".

Oddziały te nie szukały na ślepo. Na ich użytek wydano drukiem jeszcze przed wojną tzw. Sonderfahndungsbuch Polen — spis Polaków, których należało aresztować, zawierający ponad 61 tysięcy nazwisk oraz listę 9 000 nazwisk, dostarczoną przez hitlerowskie organizacje działające wśród niemieckiej mniejszości w Polsce. Specjalny kod określał jaka komórka władz bezpieczeństwa potrzebuje tej czy innej osoby oraz kto z aresztowanych zostaje „do dyspozycji" operacyjnych grup policji bezpieczeństwa. Grupy te (Einsatzgruppe der Sipo) organizowane były przed rozpoczęciem działań wojennych przy dowództwach poszczególnych armii Wehrmachtu, które miały zaatakować Polskę.

Dowództwo nad Einsatzgruppe Wien formowaną przy sztabie 14. armii gen. Lista mającej nacierać na południowym skrzydle frontu polskiego objął SS--Brigadefuehrer Bruno Streckenbach. Pod jego komendą znajdowały się cztery oddziały operacyjne (Einsatzkommando), które były przydzielone do poszczególnych korpusów 14. armii. I tak: 8 korpusowi działającemu w północnej części Rzeszowszczyzny towarzyszyć miał 1. Oddział operacyjny SS Sturmbannfuehrera dr Ludwiga Hahna, 17. korpusowi (nacierającemu z prawej strony 8. korpusu) — 2. O. op. SS-Sturmbannfuehrera B. Millera, 22. korpusowi pancernemu (Pilzno — Dębica — Rzeszów — Jarosław) — 4. O. op. SS-Standartenfuehrera Carla Brunnera, a działającemu na Podkarpaciu i w południowej części pow. przemyskiego 18 korpusowi alpejskiemu — 3. O. op. dowodzony przez SS- Sturmbannfuehrera dra A. Hasselberga i jego zastępcę komisarza policji kryminalnej, Schmera.

W skład tych oddziałów Einsatzgruppe Wien wchodziły setki wytrawnych funkcjonariuszy SS i gestapo. Na czele oddziałów stali doświadczeni szefowie placówek z Rzeszy (Hahn był szefem gestapo w Welmarze, Hasselberg — szefem placówki w Dortmundzie, sztabowcy Streckenbacha: Huppenkothen i Müller byli szefami gestapo w Lüneburgu i Wilhelmshaven).

„Grupa operacyjna Streckenbacha — pisze w swojej książce K. Radziwończyk — bezpośrednio wchodziła w skład 14. armii, była podporządkowana jej dowódcy, podlegała jego rozkazom niezależnie od ustawowych uprawnień „władzy wykonawczej" (vollziehende Gewalt) przysługujących dowódcy armii"...

We wrześniu 1939 r. kommanda Streckenbacha ruszyły za swoimi korpusami. Załomotały kolby walące w drzwi polskich mieszkań na Śląsku i w Krakowskiem, rozległy się salwy plutonów egzekucyjnych. Rozpoczęła się „operacja Tannenberg", bo taki kryptonim dano w RSHA działaniom zbrodniczych grup operacyjnych. Autor książki wymienia mordy popełniane przez zbirów Streckenbacha, a także przez Wehrmacht i Freikorps w Katowickiem i Krakowskiem, a następnie omawia działania Einsatzgruppe Wien przemianowanej wkrótce na Einsatzgruppe I na ziemiach dzisiejszego województwa rzeszowskiego.

Operacja Tannenberg objęła te obszary od 13 września. W dniu tym na Rzeszowszczyznę wyrusza Einsatzkommando 3, dowodzone przez Hasselberga. „Jego marszruta, będąca faktycznie szlakiem krwawych zbrodni — pisze autor — wiodła przez Nowy Sącz, Brzesko, Tarnów, Dębicę, Rzeszów, Łańcut, Przeworsk". 17 września oddział Hasselberga dotarł do Jarosławia, gdzie obrał sobie siedzibę. Organizuje on swoje placówki w Radymnie i Przemyślu, a następnie w Leżajsku i Nisku. W tym samym czasie przybywa na nasz teren specjalne zgrupowanie policyjne SS-Obergruppenfuehrera Udo von Woyrscha, które 22 września zostało jednak wycofane na Śląsk. Na Rzeszowszczyznę przybywa natomiast Einsatzkommando 1. SS-Sturmbannfuehrera L. Hahna, którego sztab ulokował się w Sanoku, zaś placówki w Dubiecku, Dynowie i Zasławiu. 20 września przenosi się z Krakowa do Przemyśla osobisty sztab samego Streckenbacha, który pozostaje tu przez 5 dni.

Na polecenie Heydricha jedną z pierwszych czynności oddziałów Streckenbacha była akcja wysiedlania ludności żydowskiej za niemiecko-radziecką linię demarkacyjną.

„Począwszy już od 22 września, wschodnie obszary działania I Grupy Operacyjnej stały się widownią masowych wysiedleń polskich Żydów. W pośpiechu tym chodziło o wykorzystanie sytuacji, że niemiecko-radziecka linia demarkacyjna znajdowała się jeszcze w rękach Wehrmachtu. Zapoczątkował je 3. Oddział Operacyjny dr A. Hasselberga, a pierwsza doświadczyła je na sobie żydowska ludność Łańcuta. Rankiem 22 września nakazano wszystkim łańcuckim Żydom zgromadzić się na rynku, zezwalając na zabranie ze sobą tylko 100 zł gotówki i małego bagażu z rzeczami osobistymi. W celu ułatwienia rabunku mienia wydano jednocześnie nakaz oznaczenia domów żydowskich gwiazdami syjońskimi. Następnie, po sformowaniu kolumny, SS-mani z 3. Oddziału Operacyjnego przy pomocy wojska pognali wysiedleńców w kierunku Sanu i siłą zmusili ich do przekroczenia rzeki. Nazajutrz spenetrowano w mieście wszystkie domy żydowskie, wyłapując Żydów, którym udało się ukryć. I tę resztę ludności żydowskiej wypędzono na Wschód.

23 września los mieszkańców Łańcuta podzieliła ludność żydowska Radymna i ok. 2 000 Żydów z Jarosławia, którzy dotychczas byli zatrudnieni na robotach przymusowych. W dniach 27—28 września akcja wysiedleń, przeprowadzona przez 3. Oddział Operacyjny, objęła pozostałą ludność żydowską Jarosławia oraz Leżajska i okolicy (ok. 2.300), Przeworska (ok. 2 000), Grodziska Dolnego (500), Niska i Rudnika.

W tym czasie 1. Oddział Operacyjny dr L. Hahna „oczyścił" z Żydów Dynów. 28 września pod karą śmierci polecono wszystkim Żydom dynowskim zebrać się na rynku. Stąd przy dźwiękach niemieckiej orkiestry eskorta złożona z miejscowej placówki Gestapo i żołnierzy Wehrmachtu pognała kolumnę, liczącą około 1 500 osób w kierunku Sanu. Salwami karabinowymi hitlerowcy zmusili mieszkańców Dynowa do przekroczenia rzeki w bród w miejscu, gdzie woda była głęboką i prąd bystry. W konsekwencji wielu dynowskich Żydów znalazło śmierć w nurtach Sanu.

2 października 3. Oddział Operacyjny przy pomocy wojska wypędził za linię demarkacyjną ludność żydowską z Rozwadowa, Tarnobrzega, i ich okolic (ok. 8 500). W kilka zaś dni później 1. Oddział Operacyjny postąpił podobnie z ludnością żydowską Sanoka (około 1 000 osób), gdzie zakwaterowany był sztab osobisty SS-Sturmbannfuehrera dr L. Hahna.

W ciągu niespełna dwóch tygodni Oddziały Operacyjne podległe Streckenbachowi wysiedliły z Rzeszowskiego ponad 20 000 polskich Żydów".

Wszystkie te akcje połączone były z rekwizycją mienia i rabunkiem dobytku wysiedlanych. Część zarekwirowanych rzeczy szła do central Sipo i SD, część przeznaczono na potrzeby Einsatzgruppe I, resztę rabowali dla siebie jej członkowie. Z rabunku zasłynęła szczególnie przeniesiona do Rzeszowa w początku października 1939 r. placówka gestapo z Einsatzkommando 3 z SS-Untersturmfuehrerem Schubertem, którą nazywano nawet „złodziejskim gestapo".

Zbrodnie trwały nadal. Mnożyły się egzekucje ludności żydowskiej i

---

Zdzisław Kozioł

REFLEKSJE Z PODRÓŻY W NIEZNANE

ZAŁATWIENIE FORMALNOŚCI trwało nadspodziewanie krótko; wkładkę paszportową uzyskałem w oznaczonym dniu, wymiana zaś pieniędzy zajęła mniej czasu niż zakupy na niedzielny obiad. To bardzo znamienne, że właśnie resort spraw wewnętrznych oraz bank mogą być przykładem dla wielu, wielu urzędów... Mam na uwadze zarówno przepisy uwzględniające współczesne wymogi, jak i stosunek urzędników do petenta.

Liberalizacja przepisów — zwłaszcza decentralizacja wydawania dokumentów upoważniających do przekroczenia granicy oraz decentralizacja wymiany pieniędzy — spowodowała gwałtowny wzrost wyjazdów za granicę. W stwierdzeniu tym nie ma przesady. Turystyka zagraniczna, głównie do Bułgarii i Węgier, staje się rzeczywiście masowa. Niektórzy twierdzą, że urlop nad Morzem Czarnym czy Balatonem jest tańszy od wczasów w Krynicy lub Sopocie...

Czy organizacje i instytucje zajmujące się turystyką zagraniczną uwzględniły sytuację stworzoną liberalizacją przepisów? Niestety, nie! Doświadczyłem tego na własnej skórze, chociaż do Bułgarii wyjechałem jeszcze przed szczytem wakacyjnym. Indywidualny turysta jedzie w nieznane, nie wie nawet czy zdobędzie miejsce siedzące (podróż do Warny trwa ponad 30 godzin). Indywidualny turysta nie może wykupić miejscówki, a bilety sypialne sprzedaje ponoć tylko Warszawa. Tak mi oświadczono w „Orbisie", uprzejma i sympatycz na urzędniczka cierpliwie tłumaczyła, że w najlepszym wypadku może na mój koszt przeprowadzić telefoniczną rozmowę ze swą centralą, ale za rezultat nie ręczy, bo wagony sypialne są rezerwowane dla wyjazdów zbiorowych.

Ekspress „Karpaty" prowadzi tylko wagony sypialne I klasy. Gdy jechałem do Warny i z powrotem, w pociągu było tłoczno, a w wagonach sypialnych — mnóstwo wolnych miejsc. Przejazd „slipingiem" I klasy jest dla wielu stanowczo za drogi. Jakie więc względy przemawiały za wycofaniem II klasy? Dlaczego nie ma zwykłych wagonów turystycznych z miejscówkami?

Jadąc zatłoczonym pociągiem podzielałem stanowisko „Życia Warszawy": gazeta bardzo ostro krytykowała „Orbis" za zmonopolizowanie miejscówek i wagonów sypialnych, ignorowanie potrzeb osób wyjeżdżających indywidualnie.

Nie mając miejscówki, podróżny jest skazany na liczne niespodzianki. Np. po przekroczeniu granicy radziecko-rumuńskiej, służba kolejowa ulokowała podróżnych w wagonach. Kłopotów z miejscami nie było. Na razie... Podziwialiśmy komfort rumuńskich kolei, wagony znacznie wygodniejsze od polskich, chociaż nasze nie należą do najgorszych. Rumuńskie mają oddzielnie W.C. i umywalnie, mają źródła prądu elektrycznego; pozwala to zaparzyć herbatę, co w podróży — zwłaszcza gdy się nie dysponuje pieniędzmi danego kraju — jest dużym udogodnieniem.

O świcie pierwsza niespodzianka. Energicznie obudziła mnie jakaś starsza pani. Czego właściwie chce, nie znam rumuńskiego, ona zaś nie rozumie ani po niemiecku, ani po rosyjsku. Okazało się, że zająłem jej miejsce. Na trasie sprzedawane były miejscówki, a ja nie miałem pieniędzy rumuńskich, wymiany mogłem dokonać dopiero w Bukareszcie.

Wniosek pierwszy: biura podróży nie przewidziały gwałtownego wzrostu wyjazdów nad Morze Czarne. Dwa bezpośrednie połączenia z Warną — przez ZSRR i Węgry — okazały się niewystarczające. Podobno w sezonie można jechać kombinowanymi pociągami, ale liczne przesiadki przedłużają podróż.

* * *

Na peronie przemyskiego dworca tłoczno: mieszanina języka polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Każdy, kto pojawi się w mundurze — kolejarz, bagażowy, wopista — jest zasypywany licznymi pytaniami (gdy wracałem, widziałem na peronie funkcjonariusza PKP z opaską z napisem: „Informator").

Podróżni są wyraźnie zdenerwowani, brak informacji potęguje napięcie. Dla zapewnienia porządku, radziecka służba kolejowa (z Przemyśla do granicy rumuńskiej kursuje radziecki pociąg) lokuje w wagonach pasażerów, jadących tranzytem oddzielnie, do dalej położonych miejscowości oraz pobliskich miast też oddzielnie.

We Lwowie naszych rodaków opanowała gorączka. Pociąg zatrzymuje się na kilka minut, niektórzy zdążyli dokonać wymiany pieniędzy, kupić lody lub napoje, a nawet w przydworcowym kiosku — poszukiwane w Polsce kaprony...

Nasuwają się refleksje o ekonomicznych aspektach turystyki. Nie dysponuję materiałami obrazującymi zobowiązania Polski z tytułu obsługi naszych turystów za granicą ani też wpływów z opłat, które uiszczamy przed wyjazdem. A są to na pewno sumy niebagatelne. Ciekawe byłyby także dane urzędów celnych. Ograniczę się jedynie do spostrzeżeń z podróży, scen zaobserwowanych w pociągu, w Bukareszcie i kilku miastach bułgarskich.

Indywidualny turysta, jeśli w kraju nie opłacił utrzymania na czas pobytu za granicą, może wymienić w NBP 3 tys. złotych. Za 1 000 zł otrzymuje walutę obcą, za pozostałe 2 tys. zł — czeki. Ponadto w każdym kraju wolno mu wymienić po 150 złotych. Rodacy wymieniali więcej, bo za granicą nie przestrzegano tego przepisu. W efekcie Polacy wywozili poważne nieraz kwoty przekraczające potrzeby nawet najbardziej wygodnego turysty. Słyszałem od osób dobrze poinformowanych, że celnicy znajdowali kilkunastotysięczne kwoty; turystki przewoziły je nie tylko w kokach... Moi rozmówcy podkreślali, że liberalizacja przepisów paszportowych sprzyja powstawaniu grup zawodowo trudniących się wyjazdami za granicę w celach bynajmniej nie turystycznych.

By temu przeciwdziałać, na żądanie Ministerstwa Finansów punkty wymiany za granicą będą wymieniać tylko po 150 złotych oraz stemplować deklaracje celne, a od 1 lipca wymianie nie podlegają banknoty 500 i 1000-złotowe. Przepis ten jest rygorystycznie przestrzegany.

Legalna wymiana pieniędzy w kraju przeciwdziała drobnym wykroczeniom celnym. Nie przeciwdziała oczywiście praktykom potentatów „kieszonkowego eksportu-importu". Spotykałem młode małżeństwa, a nawet rodziny 3, 4-osobowe jadące rzeczywiście odpoczywać i zwiedzać. Wystarczyły im pieniądze wymienione w kraju.

Ale spotykałem i innych turystów, jadących do dwóch, trzech krajów. W jednym kupują, a w drugim sprzedają. Byli za granicą, ale poza ulicami i sklepami niczego nie widzieli. Przed wyjazdem — zamiast przewodników, których zresztą jest u nas bardzo mało — uważnie studiowali komunikaty o umowach handlowych. Zabierają z sobą to, co Polska eksportuje do danego kraju...

Uogólniające oceny bywają często nieadekwatne, ale za granicą nawet jednostka może zaszkodzić dobremu imieniu Polski i Polaków. A w oparciu o rozmowy w ZSRR, Rumunii czy Bułgarii oraz obywatelami innych krajów, z którymi zetknąłem się w Warnie, można sądzić, że zainteresowanie Polską jest

polskiej, zapełniały się więzienia. Szczególnie złą sławę miały więzienia: w Sanoku— podległe SS-Sturmbannfuehrerowi Hahnowi oraz rzeszowskie, dokąd trafiali aresztowani z obszaru operacyjnego oddziału Hasselberga.

W październiku Streckenbach awansuje na dowódcę Sipo i SD na obszarze okupowanych ziem polskich. Jego następcą w Einsatzgruppe I zostaje SS-Sturmbannfuehrer W. Huppenkothen (którego miejsce od stycznia 1940 r. zajmie kat Podkarpacia SS-Sturmbannfuehrer dr L. Hahn). Po utworzeniu Generalnej Guberni Streckenbach mianowany zostaje dowódcą Sipo i SD na jej terenie. Na stanowisku tym pozostaje do 14 stycznia 1941 r., uczestnicząc w przeprowadzaniu osławionej akcji AB, mającej na celu wyniszczenia inteligencji polskiej oraz w wielu innych zbrodniach hitlerowskich. Ponosi odpowiedzialność za śmierć i męczarnie tysięcy polskich kobiet, mężczyzn i dzieci. Jest współautorem i wykonawcą wielu tych poczynań, za które gubernator Hans Frank skazany został w Norymberdze na śmierć.

W styczniu 1941 r. Streckenbach odchodzi do Niemiec, gdzie na stanowisku szefa I departamentu RSHA, przygotowuje i szkoli nowe Einsatzgruppen, nowe zastępy zbirów, które w czerwcu ruszą wraz z Wehrmachtem na tereny Związku Radzieckiego. Po śmierci Heydricha jest faktycznym szefem RSHA, a w roku 1943 idzie na front. Przydzielony do 8. dywizji kawalerii Waffen SS, wkrótce zostaje jej dowódcą. Walczy na froncie wschodnim, uczestniczy w akcjach pacyfikacyjnych na Białorusi, a w roku następnym w Jugosławii. W styczniu 1944 r. przebywa wraz ze swą dywizją na Rzeszowszczyźnie na poligonie SS koło Pustkowa. Stamtąd ruszy do Jugosławii, a potem na Węgry. W kwietniu 1945 roku zostaje dowódcą 19. dywizji grenadierów Waffen SS. W maju tegoż roku dostaje się do niewoli radzieckiej w Kurlandii.

Za popełnione na terenie ZSRR zbrodnie Streckenbach skazany został na bezterminowe więzienie. Wydany w 1955 r. NRF jako nie amnestionowany zbrodniarz wojenny nie został pociągnięty w Niemczech zachodnich do odpowiedzialności, mimo że domagano się tego. Zbrodnie, jakie popełnił w Polsce dotąd pozostają nie ukarane.

Książka Kazimierza Radziwończyka poza sylwetką Streckenbacha i scharakteryzowaniem jego działalności w służbie hitleryzmu zawiera wyciągi z materiałów i dokumentów informujące o przebiegu kariery służbowej tego zbrodniarza, zestawienie (choć nie kompletne) mordów popełnionych w Polsce przez jego grupę operacyjną (w tym 16 na terenie woj. rzeszowskiego), odpisy dokumentów oraz mapki i schematy organizacyjne grup operacyjnych Sipo i SD w okupowanej Polsce.

Ta potrzebna i ważna publikacja wypełnia pewną lukę w wiedzy o zbrodniarzach i zbrodniach hitlerowskich na naszym terenie, umożliwia poprzez ujawnienie systemu organizacyjnego i podziału obszaru między poszczególne kommanda grup operacyjnych, ustalenie personalnej odpowiedzialności za zbrodnie popełnione w pierwszych latach okupacji.

Jej niewielki nakład z pewnością sprawi, że potrzebne będzie drugie wydanie. Warto, by nie powtarzało ono pewnych błędów korektorskich, które mogą zdezorientować czytelnika. Tak np. w przypisach przy nazwisku doc. Kotuli znajduje się literka T mogąca oznaczać Tomasza czy Tadeusza, podczas gdy autor pracy „Czy były próby utworzenia proniemieckiego rządu po klęsce wrześniowej" — opublikowanej w „Najnowszych Dziejach Polski" — ma na imię Franciszek. Błędy korektorskie znajdziemy także w wykazie zbrodni grup operacyjnych Sipo i SD, gdzie czytamy o egzekucjach Żydów przemyskich w Pratkowicach, Krutelu, Zaraniu, zamiast Prałkowcach, Kruhelu, Zasaniu.

WITOLD SZYMCZYK

POD UROKIEM CYGAŃSKIEJ SZTUKI

Maria Cecylia Guziołek

Przez 8 dni gościem Wojewódzkiego Domu Kultury był Węgierski Zespół Pieśni i Tańca z Mátèszalka, który dał kilkanaście koncertów na Rzeszowszczyźnie. Tournèe rozpoczął w ubiegłą sobotę galowym występem w Rzeszowie. Nasi goście to 45-osobowa grupa amatorów muzyków, tancerek i tancerzy — członków spółdzielni rolniczej w Mátèszalka, niewielkiej miejscowości położonej w północno-wschodnim zakątku Węgier. Zespół pracuje pod kierownictwem Bèli Acèla już ponad 20 lat. Powstał w grudniu 1944 roku i od tego czasu zanotował w swych kronikach ponad 500 występów w różnych częściach kraju i koncertów radiowych. Dorobił się też licznych dyplomów uznania i nawet odznaczenia.

Wśród członków zespołu obok robotników są kelnerzy, kioskarze, jak również instrumentaliści występujący na co dzień w miejscowych kawiarniach. Siedmioosobową kapelą cygańską o charakterystycznym składzie: klarnet, dwoje skrzypiec, altówka, wiolonczela, kontrabas i cymbały węgierskie*) prowadzi skrzypek Lajos Horvàt. Choreografię opracowuje zawodowa tancerka Julia Csiki, która występuje — notabene — również jako solistka. Prawdziwą okrasą tego ogromnie barwnego zespołu jest sopran Lajosnè Csiki — piękna śpiewaczka o cygańskiej urodzie i wyszkolonym głosie oraz baryton Bertalan Csiki, dysponujący głosem wyrównanym, o pięknym, ciepłym kolorycie.

Afisz zapowiadał koncert muzyki węgierskiej i cygańskiej oraz tańce. Przedstawiono natomiast w zapełnionej do ostatnich niemal miejsc sali koncertowej WDK przebarwne, pełne werwy i iście szatańskiego tempa — malownicze widowisko cygańskie, które znalazło szlachetną klamrę, spinającą program całego koncertu w końcowym obrazie pt. „Karawana cygańska".

Węgierscy goście, w trwającym ponad 2 godziny występie dali interesujący popis sprawności fizycznej. Zawrotne tempo wszystkich tańców oszałamiało widza. Trzeba być urodzoną tancerką lub tancerzem, aby kondycyjnie wytrzymać takie popisy sprawności nóg i rąk. I jak mogliśmy się sami przekonać na scenie, członkowie zespołu wprowadzają w arkana tańców cygańskich swoich potomków, bodajże od pierwszych samodzielnych kroków. Kapitalne opanowanie sztuki tanecznej cechuje tak tancerki, jak i tancerzy. Miękkość gestu i ogólny wdzięk pięknych członkiń zespołu — w znacznej części — Cyganek, niegrzeszących wcale szczupłością, musi zachwycić każdego. Natomiast złe i jednolite przez cały występ oświetlenie niepotrzebnie tonowało bajeczne wprost kolory kostiumów i malowniczą egzotykę.

W czasie koncertu ogromnie żałowałam, że nie jest obecny, bodajże jedyny spec polski od kultury i sztuki cygańskiej, Jerzy Ficowski. Przy jego pomocy może udałoby się wyodrębnić prawdziwą ludowość od stylizacji, no i sam strój węgierski. Węgry zapewne jak i Polska oraz większość krajów europejskich mają liczne regiony kulturalne. Nie przedstawiono nam nawet popularnego kobiecego stroju węgierskiego. Szkoda, bo jest bardzo piękny! Z akcentów węgierskich w koncercie odnalazłam tylko kilka pieśni — ballad, które znakomicie wykonywał z niezawodnym zespołem instrumentalnym, Bertalan Csiki i urzekająca Lajosnè Csiki.

Soliści-śpiewacy przygotowali polskiej publiczności uroczą niespodziankę w formie piosenek „Szła dziewczeczka do laseczka" i „Hej przeleciał ptaszek". (Ależ ten język polski trudny!).

W sumie wieczór cygańsko-węgierski trzeba uznać jako artystycznie bardzo udany. Lajos Horvàt i jego kapela dzielnie towarzyszyły śpiewakom i tancerzom; zachwycili stylowym oddaniem piękna muzyki węgierskiej, szczególnie w nastrojowych czardaszach.

Natomiast szanse popularyzacji sztuki ludowej węgierskiej i cygańskiej zostały zaprzepaszczone. Szkoda wielka, bo znów nie tak często mamy okazję słyszeć i oglądać oryginalne zespoły amatorskie lub zawodowe bratnich Węgier. Wydaje mi się słuszne, że jeżeli nie ma możliwości przygotowania drukowanego programu występów z odpowiednim wprowadzeniem, trzeba opracować słowo wiążące, dzięki któremu słuchacz i widz mógłby w jakimś tam chociażby stopniu poznać muzykę, tańce i sztukę reprezentowanego przez ten czy inny zespół narodu. Jestem pewna, że ambasady chętnie pomogą gospodarzom imprez w przygotowaniu właśnie takiego popularyzatorskiego słowa wiążącego — konferansjerki.

Właśnie w występie Węgierskiego (Cygańskiego?) Zespołu Pieśni i Tańca zabrakło tej nici wiążącej, akcentu poznawczo-popularyzatorskiego. Urocza Węgierka, polskiego pochodzenia z wdziękiem starała się wprowadzać słuchaczy w treść tańców, a piosenki; ballady i utwory instrumentalne pozostały całkowicie poza informacją. Nie padła ani jedna nazwa tańca, ani jedno nazwisko kompozytora itd. W ten sposób muzyka węgierska rozpłynęła się w twórczości cygańskiej — tak niesłusznie — zbyt często jeszcze utożsamianych.

Do wybitnych osiągnięć artystycznych zespołu zaliczyłabym taniec „o poszukiwaniu wody", kapitalny w układzie „werbunek do wojska", nie mówiąc już o obrazie końcowym w wykonaniu całego zespołu ze zdumiewającą brawurą i porywającym czarem.

*) Cymbały węgierskie to instrument dziś spotykany właściwie tylko na Węgrzech w zespołach ludowych i cygańskich. Różni się od zwykłych cymbałów mechanizmem pedałowym, który działa odwrotnie niż w fortepianie.

---

bardzo żywe. Głęboki jest także szacunek dla naszego kraju, chociaż wielu nie rozumie w pełni naszej — jak to się zwykło mówić — specyfiki. Źródłem informacji o Polsce jest nie tylko tamtejsza prasa, ale także my sami. Pytano nas o wiele spraw, o stopę życiową mierzoną wysokością zarobków i cenami, o obchody Tysiąclecia, co często było pretekstem do dalszych pytań, dotyczących wystąpienia biskupów...

Skoro już zszedłem na „zagraniczne rodaków rozmowy", wspomnę, że i na czarnomorskich plażach odbijają się echa konfliktów politycznych w świecie. Spotkałem grupę sympatycznych rodaków, którzy opowiadali mi o kontrowersji z turystami zachodnioniemieckimi. A jest ich w Bułgarii bardzo dużo, przeważnie ludzi średnio sytuowanych.

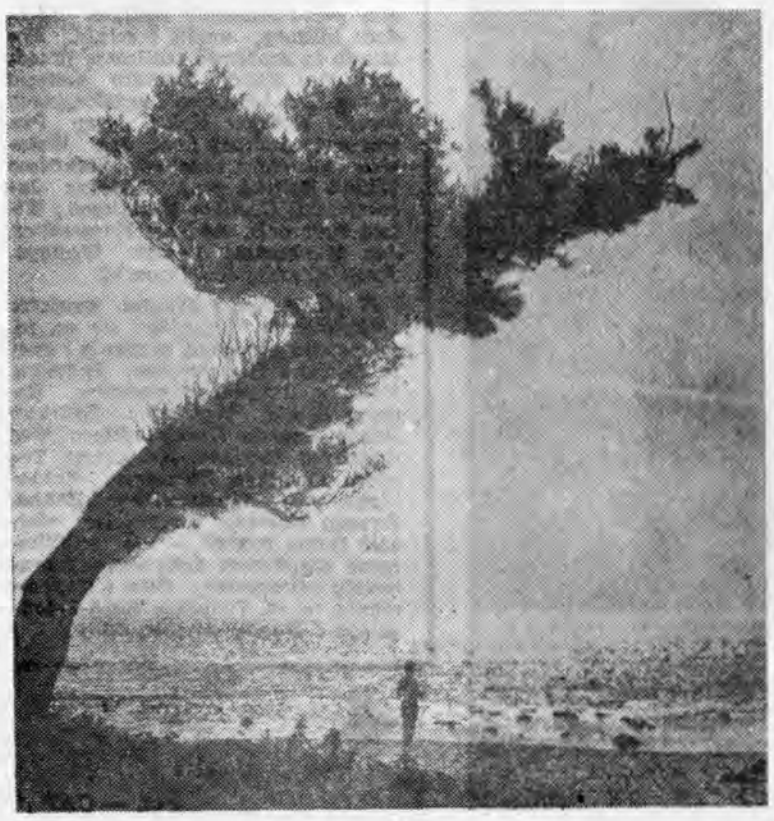

Jeden z Polaków poczęstował przygodnych rozmówców z NRF papierosami. Zapalając, Niemiec pyta o markę. „Wrocławskie" — pada odpowiedź. Niemiec replikuje, że nie ma Wrocławia, jest Breslau, i nie pytany opowiada o polityce Erharda, która — jego zdaniem, jest jedynie słuszna dla Niemiec i Europy, bo dąży do zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich w państwo pokój miłujące.

Niemiec ten wierzył w Erharda, żadne argumenty nie trafiały do jego świadomości. Militaryzm i rewanżyzm to według niego wroga wobec Niemiec propaganda. — My chcemy spokojnie żyć, a zjednoczenie wszystkich ziem niemieckich jest warunkiem pokoju.

Najprawdopodobniej ten Niemiec chce spokojnie żyć, ale nie rozumie, że dążenie do „zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich", za które uważa także nasze Ziemie Zachodnie i Północne, nie prowadzi do pokoju.

Opowiadano mi także o bardzo ostrym konflikcie w rodzinie. Otóż Niemka z NRD spotkała w Bułgarii swych krewnych z NRF. Podczas kolacji rozmowa zeszła na doniesienia o bombardowaniu Hanoi. Niemka z NRD gwałtownie zaczęła oskarżać Bonn o popieranie tej agresji, a społeczeństwo zachodnioniemieckie — za bierność wobec polityki Bonn, za bierność wobec neofaszyzmu. Jako dowód podała zjazd byłych SS-manów. Zaślepieni swoją stopą życiową — wołała — nie widzicie groźnego niebezpieczeństwa!

Jej krewny, człowiek czterdziestokilkuletni, dla swych argumentów szukał zrozumienia u Polaka, który wraz z Rosjaninem znalazł się w tym towarzystwie. Przecież — dowodził — w Republice Związkowej panuje demokracja i dlatego władze nie mogły zakazać zjazdu byłych SS-manów, zresztą nie jest ich tak dużo, najwyżej 6 tysięcy. Na to Polak i Rosjanin: początkowo hitlerowców było jeszcze mniej, a jednak przejęli władzę, co zaś się tyczy demokracji — dlaczego jest ona dla neofaszystów, a nie ma jej np. dla komunistów. I tu jakże charakterystyczne: „ja się na polityce nie znam, przeżyłem wojnę, byłem na froncie... Chcę żyć spokojnie i dostatnio, a polityką niech się martwią inni".

* * *

Zboczyłem nieco z tematu, miałem pisać o indywidualnych turystach, o korzyściach, jakie odnoszą oni z zagranicznych wojaży. Chodzi mi głównie o aspekt poznawczy. Szansa ta nie jest w pełni wykorzystana; mnóstwo ludzi, opuszczając na kilkanaście dni granice kraju, jedzie w nieznane. Nie ma w zasadzie do ich dyspozycji materiałów zawierających wszechstronną informację. Co zwiedzać? Jakie są ceny hoteli i posiłków w restauracjach? Które miejscowości, z uwagi na ceny, są dostępne dla turysty z Polski? Pytań, na które turysta chce otrzymać odpowiedź, jest więcej.

Przedsiębiorstwa turystyczne — polskie i zagraniczne — rozwijają reklamę, ale przecież chwalenie uroków czarnomorskiego wybrzeża nie wystarcza. O jego zaletach wie każdy. Wzdłuż wybrzeża bułgarskiego jest wiele cennych obiektów, które warto zobaczyć, bo umożliwiają zapoznanie się z historią i kulturą Bułgarii. Niektóre, jak Mauzoleum Władysławawa Warneńczyka, przypominają o dawnych związkach polsko - bułgarskich. W innych znów w całej okazałości prezentuje się nam folklor, czy rezerwaty przyrody.

Bez komunikatywnie opracowanych przewodników i informatorów nie poznamy kraju, w którym przebywamy. Uwagę turysty przyciągają wówczas zjawiska powierzchowne, albo placówki skądinąd atrakcyjne, lecz tandetne, jak np. bar w indiańskim wigwamie, kawiarnia we wraku statku, w której przebrani za piratów kelnerzy roznosząc napoje strzelają z pistoletów czy lokal nocny w dawnym klasztorze; w jednym z jego skrzydeł czynny jest jeszcze chram. Tu też zaglądają turyści, a można zobaczyć starsze kobiety bijące ukłony przed świętymi i całujące ikony...

Swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z bułgarskimi działaczami kulturalnymi. Rozmawiałem m. in. z dziennikarzami tego kraju, a po powrocie do Polski złożyłem wizytę w Ośrodku Kultury Bułgarskiej w Warszawie, placówce zasłużonej dla rozwoju polsko-bułgarskiej współpracy kulturalnej (w Ośrodku spotkałem Polaków, którzy przed wyjazdem do Bułgarii szukali informacji o tym kraju).

Z rozmów tych wyłania się zasadniczy wniosek: turystyka stwarza dużą szansę do zbliżenia narodów. Ale jak ten wniosek przekształcić w program działania? Sądzę, że współpartnerami przedsiębiorstw turystycznych powinny być także organizacje i placówki kulturalne.

C. BŁOŃSKA

Zasłużony dla Województwa

Nie mam bynajmniej zamiaru, pisząc o docencie inż. Henryku Górce — jednym z pierwszych, który z okazji lipcowych uroczystości otrzymał odznakę „Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego" sięgać do uproszczonej teorii, jakoby jego twórcze związki z Rzeszowszczyzną, zasługi, jakie oddał i świadczy nasze mu regionowi wynikały li tylko z tego, iż tu właśnie się urodził.

Wobec erupcji ogromnych talentów artystycznych, pisarskich, naukowych, organizacyjnych z dala od miejsca urodzenia, wobec wiekopomnego nasiedlenia Ziem Zachodnich nowym elementem, a w końcu potężnego napływu ludzi nowych do nowego województwa rzeszowskiego, ta naiwna teza nie wytrzymuje konfrontacji z praktyką, czy wręcz ofensywą faktów.

Pragnęłabym natomiast zwrócić uwagę na inny aspekt w życiorysie Docenta. Urodzony w Tropiach (pow. Strzyżów), syn pracownika fizycznego — murarza, szkołę średnią kończy w Jaśle i w 19 roku życia rozpoczyna pracę w kopalni w Harklowej. Od wczesnej więc młodości H. Górka związał się z górnictwem naftowym; jako młody chłopiec był kolejno robotnikiem w jednym z szybów w Rymanowie. Dopiero po 4-letniej pracy zarobkowej podjąć mógł studia w Akademii Górniczej w Krakowie, kończąc je w r. 1926.

Tytuł inżyniera górniczego otwiera mu drogę do Karpackiego Instytutu Geologiczno-Naftowego w Borysławiu, gdzie początkowo pełni funkcję asystenta, następnie inżyniera ruchu, pozostając tam do wybuchu wojny. W okresie okupacji utrzymał się przy swym zawodzie na terenie Jasła, potem Gorlic.

Wyzwolenie zapoczątkowuje wielką kartę w karierze tow. Górki. W lutym 1945 r. mianowany zostaje zastępcą dyrektora w Instytucie Naftowym, a w dwa lata później powierzone mu zostaje kierownictwo oddziału terenowego tegoż Instytutu. Od marca 1957 r. przeszedł na stanowisko dyrektora Zarządu „Karpaty", później objął funkcję dyrektora Państwowego Przedsiębiorstwa Kopalnictwa Naftowego w Krośnie, którą pełni do dnia dzisiejszego.

Wiele dziesiątków lat mająca praktyka, wnikliwa naukowa obserwacja podkarpackich złóż naftowych, trwałe poszukiwania nowoczesnych metod wydobycia ropy naftowej, gazu przyniosły szereg rozpraw naukowych w wydaniach specjalnych, w czasopismach krajowych i zagranicznych.

— Kiedy ukazała się drukiem Wasza pierwsza praca?

— W r. 1931: były to „Wykresy przebiegu produkcji na polach naftowych w zastosowaniu do złóż Borysławia" (Stat. Naft. Pol.). W tym samym roku wydawnictwo to drukowało pracę nt. „roli gazu w eksploatacji złóż naftowych". Z okresu międzywojennego pochodzą rozprawy „Metoda Marietta oraz jej zastosowanie na polach Schodnicy i Urycza", drukowana w Moniteur du Petrole Roumain r. 1934, rozprawa pt. „L'activitè petrolifére en Pologne" oraz w angielskim specjalistycznym periodyku naukowy szkic nt. „Pressure Restoration in Oil Pields in Poland".

Spory jest wybór prac, jakie ukazały się po wyzwoleniu, nie sposób więc cytować tytułów bodaj tych 12 najważniejszych. Uważny obserwator (nawet i nie spec od naftowych pól) odczyta z nich dynamiczny zarys dziejów Podkarpackiego Zagłębia Naftowego w ostatnim 20-leciu. Autor swą wnikliwą wiedzę, mrówczą pracowitość, młodzieńczą energię skupia na węzłowych zagadnieniach nafty, a jego dysertacje obejmują problemy nurtujące nie tylko rzeszowskie kopalnictwa. Braci górniczej z całego kraju przekazuje wyniki badań nad możliwościami wydobywania ropy metodą górniczą w Polsce, nad „stosunkami energetycznymi w polskich złożach ropnych", nad „wpływem gęstości zwiercania złoża na ogólne wydobycie ropy".

Obok szkiców posiadających wartość historycznych dokumentów dla tej dziedziny naszego przemysłu jak „Kopalnie nafty i gazów ziemnych w Polsce", czy też drukowane w „Nafcie" opracowanie monograficzne „Polski Przemysł Naftowy w latach 1945 — 1960", rozprawy naukowo-badawcze, traktujące o możliwościach zastosowania cementów do zamykania wód wgłębnych oraz o roli cementów przy wierceniach obrotowych miały swoją praktyczną kontynuację w produkcji całego polskiego przemysłu naftowego. W tym różnorodnym naukowym dorobku nie brak świadectwa Urzędu Patentowego, jakie doc. inż. Górka uzyskał za opracowanie metody „Hydrocyklonu", urządzenia do oddzielania barytu z płuczki wiertniczej".

Za tak rozległą działalność w dziedzinie nauk H. Górka otrzymał w r. 1954 tytuł naukowy docenta, niedługo potem minister górnictwa i energetyki przyznał mu tytuł generalnego dyrektora II stopnia.

Myliłby się ktoś przypuszczając, iż zarządzanie sporym zespołem kopalń, twórcza praca naukowa angażują bez reszty czas i zainteresowania sędziwego naftowca. Do jego doświadczenia, wiedzy, a przede wszystkim wielkiej ludzkiej życzliwości pretendują nie tylko instytucje nadwiślańskiego Krosna, gdzie jest przewodniczącym Komitetu Naukowego Instytutu Naftowego, prezesem Aeroklubu Podkarpackiego, ba, chętnie pełni funkcję przewodniczącego Powiatowego Komitetu Przyjaciół Harcerstwa. Równocześnie jest członkiem kolegium Zjednoczenia Przemysłu Naftowego w Warszawie, Rady Naukowej Instytutu Naftowego w Krakowie, zasiada w Zarządzie Głównym SIiTPN w Krakowie i oczywiście współdziała z kolegium redakcyjnym „Wiadomości Naftowych".

Wypada mi na koniec wyznać, że niewiele razy dane mi było słyszeć docenta Górkę zabierającego głos na oficjalnych spotkaniach, konferencjach, zebraniach. Gdy miałam jednakże kiedyś możność przysłuchiwać się jego wywodom, uderzało mnie ich zaangażowanie, oddanie sprawie, nigdy zaś, przenigdy, jakakolwiek próba przypominania swego udziału, swoich zasług...

... I chociaż od tego spotkania aktywu podkarpackiego okręgu wyborczego upłynęło sporo czasu, pomnę jego pełne ognia, żaru wystąpienie w obronie nieprzemijającej młodości naftowego przemysłu podkarpackiego Zagłębia, któremu poświęcił większość swego życia, a który wówczas określił ktoś, jako przemysł czasu przeszłego. Naukowe specjalistyczne argumenty, jakimi wzbogacił naradę (w której uczestniczyłam) jako przewodniczący Komitetu Budowy Muzeum Naftowego w Bóbrce dowodziły, że muzealnictwo naszego regionu ma w tym naukowcu oddanego przyjaciela i znakomitego konsultanta.

W życiu osobistym, w rozmowie prywatnej, docent jest zniewalająco skromny. Prawdopodobnie, co pozostanie chyba tajemnicą artystycznej pracowni, podkarpacki plastyk Stanisław Kochanek malując portret naszego zasłużonego dla województwa rzeszowskiego, sam musiał uzupełniać górniczy strój portretowanego o order Sztandaru Pracy I Klasy, o Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i inne wysokie odznaczenia państwowe, jakimi władza ludowa nagrodziła trud tow. Górki, który zasługując się wielce ziemi rzeszowskiej, niemało też przysłużył się krajowi.

Śpiewający Wrocław

Do kalendarza poważnych imprez muzycznych Polski dochodzi obecnie wrocławski Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Vratislavia Cantans", czyli — mówiąc bardziej po swojsku — „Śpiewający Wrocław". W dniach 14—18 sierpnia br. zagoszczą w prastarym Wrocławiu wybitni wokaliści polscy, dyrygenci i znakomite zespoły muzyki dawnej by dać 7 koncertów, złożonych z utworów najwyższej rangi artystycznej.

Wrocław jest miastem posiadającym poważne środowisko zawodowych muzyków i muzyczne osłuchane oraz wykształcone społeczeństwo. Filharmonia, opera, operetka, doroczne Festiwale Polskiej Muzyki Współczesnej, Dni Muzyki Organowej, systematyczne koncerty sławnego już Chóru Wrocławskiej Rozgłośni Polskiego Radia i TV oraz „Wtorki Muzyczne" organizowane przez miejscową PWSM, to instytucje artystyczne i imprezy, które potrafiły skupić wokół siebie liczne grono melomanów. Nic dziwnego, że właśnie tu inicjatywa powołania Festiwalu Muzyki Oratoryjno-Kantatowej znalazła z miejsca entuzjastów wśród melomanów i władz miejskich.

Program I Festiwalu „Śpiewający Wrocław" jest ogromnie interesujący, a tym bardziej przyciągnie uwagę miłośników tej specyficznej muzyki z całej Polski, bo wykonywana ona będzie w zabytkowych wnętrzach: auli Uniwersytetu z początków XVIII wieku, kościele garnizonowym pochodzącym z połowy XVIII w. ze słynnymi organami barokowymi, unikalnym zabytkiem w skali europejskiej oraz w sali koncertowej Polskiego Radia.

Po raz pierwszy bodajże w kraju wykonany będzie w ramach tego Festiwalu w Muzeum Architektury koncert „Światło i dźwięk" według scenariusza i realizacji Wiesława Rembielińskiego. Uwagę zwraca już dziś program koncertu Warszawskiego Zespołu Orientalnego pt. „Wschód w muzyce, poezji i pieśni", który przyniesie muzykę i poezję europejską z motywami orientalnymi, bądź oryginalne pieśni ludowe w artystycznym opracowaniu kompozytorów Japonii, Mongolii, Chin, Wietnamu, Indii oraz azjatyckich republik ZSRR.

Wykonawcami tej przepięknej imprezy m. in. będą: Halina Łukomska, Halina Słonicka, Hanna Rumowska, Zdzisław Nikodem, Jerzy Artysz i Romuald Sroczyński — soliści oraz Chór Filharmonii Narodowej i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Wrocławskiej pod kier. Andrzeja Markowskiego. Orkiestra i Chór Polskiego Radia w Krakowie pod dyr. Jerzego Gerta, Capella Bydgostiensis Pro Musica Antiqua pracująca pod kierownictwem Stanisława Gałońskiego, wspomniany już Zespół Orientalny Czesława Kwiecińskiego oraz Chór Wrocławskiej Rozgłośni Polskiego Radia i TV pod dyr. Edmunda Kajdasza.

Za dwa tygodnie Wrocław rozbrzmiewać będzie ariami z najwspanialszych oratoriów, mszy i kantat kompozytorów polskich z lat dawnych i współczesnych oraz muzyką zaliczaną dziś do literatury światowej, która jest własnością muzyków i melomanów z wszystkich krajów.

M. G.

„Miesięcznik Literacki" — nowe czasopismo społeczno-literackie

1 września br. ukaże się pierwszy numer „Miesięcznika Literackiego" — nowego czasopisma społeczno-literackiego. O profilu nowego pisma informuje przedstawiciela PAP redaktor naczelny, Włodzimierz Sokorski.

— Nie będzie to jeszcze jedno pismo literackie w rodzaju „Twórczości" czy „Poezji". Nie zamierzamy dublować żadnego z ukazujących się w kraju czasopism. Chcemy, aby „Miesięcznik Literacki" stał się trybuną myśli marksistowskiej, obejmującej zagadnienia współczesnej kultury socjalistycznej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na łamach „Miesięcznika" znajdzie się miejsce dla szerokiego przekroju poglądów pisarzy, twórców, naukowców i krytyków. Obok aktualnych problemów współczesnej literatury, poruszane będą w „Miesięczniku" zagadnienia społeczne, filozoficzne, naukowe; znajdą się też rozprawy krytyczne, eseje i publicystyka, obejmująca również aktualną tematykę międzynarodową. Szeroko będziemy uwzględniać dorobek nauk humanistycznych. Wychodzimy z założenia, że problemy literatury wiążą się ściśle z aktualną rzeczywistością społeczną i tylko w takim ujęciu można je poddać obiektywnej ocenie.

Liczymy na to, że nowe pismo znajdzie szeroki krąg odbiorców interesujących się aktualnymi zjawiskami życia społecznego oraz literaturą i sztuką. Chcielibyśmy wśród naszych czytelników widzieć zarówno tych, którzy czytają „Kulturę", jak i tych, którzy czytają „Politykę".

W skład kolegium redakcyjnego „Miesięcznika Literackiego" wchodzą przedstawiciele różnych dziedzin kultury, nauki i sztuki. Powinno to zapewnić realizację przedstawionej wyżej formuły nowego pisma. Do kolegium redakcyjnego weszli: Tadeusz Hołuj, Jerzy Putrament, Andrzej Lam, Jan Wołosiuk (sekretarz redakcji), Stanisław Witold Balicki, prof. Tadeusz Jaroszewski, Czesław Madajczak, Witold Nawrocki, Andrzej Kuśniewicz, Jan Mietkowski, Lesław Wojtyga, Jerzy Kossak, Jan Danecki.

W pierwszym i drugim numerze „Miesięcznika" znajdą się m. in. fragmenty utworów, artykuły i eseje Lucjana Rudnickiego, Tadeusza Nowaka, Jerzego Putramenta, Ernesta Brylla, Wojciecha Żukrowskiego, Zenona Kosidowskiego, Włodzimierza Maciąga, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Zbigniewa Załuskiego, prof. Włodzimierza Zonna, Jerzego Kossaka. Znajdą się również liczne inedita — nie publikowane dotychczas dokumenty i materiały historyczne, listy i wspomnienia, m. in. Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Wandy Wasilewskiej.

(CIĄG DALSZY ZE STRONY 1)

kich odczuć ludzi sztuki, to przede wszystkim zmiana warunków życia społeczeństwa. Po raz pierwszy w dziejach naszego narodu zainteresowania kulturalne, potrzeba artystycznych przeżyć stały się nieodłącznym elementem codziennego życia najszerszych mas. Ze względu na dostępność wszystkich środków kulturalnego oddziaływania — na sieć powszechnych bibliotek, na cenę książek, biletów do kin i teatrów i ze względu na to, że istnieje prosta zależność między wzrostem wiedzy a wzrostem potrzeb kulturalnych. A w naszym społeczeństwie blisko 80 proc. młodzieży zdobywa średnie wykształcenie. Jak obliczono — 8 mln Polaków zasiada jesienią na ławie szkolnej: co czwarty obywatel uczy się na tym czy innym szczeblu szkolnej drabiny.

Sprawa wspólna

Jeśli dziś mówimy o ukoronowaniu — przez osiągnięcia Polski Ludowej — historii jej tysiąca lat, to w dziedzinie kultury myślimy nie tylko o owych — imponujących ilościowo — przemianach życia kulturalnego. Nie tylko o tym, że w państwie sprawiedliwości społecznej zagwarantowano wszystkim obywatelom pełnię praw obywatelskich, a więc także prawo do nauki, do kulturalnego życia.

Nasze przemiany kulturalne — to przede wszystkim przemiany jakościowe, przemiany miejsca problemów kulturalnych w całokształcie życia społecznego i ich treści.

Cała wartościowa historia polskiego dorobku kulturalnego to historia walki w imię i dla dobra społeczeństwa, ale jednocześnie przeciw szlacheckiej prywacie, przeciw kosmopolityzmowi magnatów, przeciw fanatyzmowi kleru, później przeciw uciskowi zaborców, a jeszcze później przeciw sanacyjnej polityce „trzymania za mordę", przeciw kapitalistycznym lokautom, przeciw salwom granatowej policji do manifestacji robotniczych.

Kultura w Polsce Ludowej, pozostając szermierzem walki w imię i dla dobra społeczeństwa, stała się jednocześnie ważnym czynnikiem polityki państwa. Zgodność interesów społecznych z interesami państwowymi uczyniła z rozwoju kulturalnego nieodłączny element ogólnego rozwoju.

Dwadzieścia dwa lata — w rozwoju kulturalnym narodu — to dużo i bardzo mało. Dużo, by otworzyć ogólnie dostępną sieć ponad 8 tysięcy bibliotek powszechnych, by uruchomić 4 tys. kin, by dotrzeć do każdego miasteczka, do każdej wsi z gazetami, radiem, by upowszechnić telewizję, by wykształcić wśród ogółu obywateli nawyki kulturalnych rozrywek, potrzebę artystycznych przeżyć.

I mało, by ocenić wielkość i trwałość artystycznych poszukiwań lat powojennych, by stwierdzić jednoznacznie, jaka powinna być treść literatury i sztuki godnej naszych czasów, godnej pamięci nadchodzących pokoleń.

W roku Tysiąclecia zbierze się w Warszawie Kongres Kultury Polskiej. Jego treścią będzie ocena dorobku kulturalnego minionych wieków. Jego treścią będzie jednak przede wszystkim właśnie problematyka dnia dzisiejszego polskiej kultury. Innej niż w przeszłości. Otoczonej opieką i troską państwa. A przecież poszukującej — może intensywniej niż kiedykolwiek — drogi najlepszej służby społeczeństwu.

S. GRABOWSKA

Gołębie

Fot. — CAF

W trzydziestym siódmym roku, w jednym z pierwszych słonecznych dni maja, fiakrem od strony dworca zajechał przed hotel Metropol starszy pan ubrany, jak to się wtedy mówiło, po europejsku i zażądał pokoju.

Pokoje, czyli numery w tym hotelu były duże i ładne, z tapetami, żyrandolami, firankami i jelenimi rogami, i z białymi żelaznymi łóżkami, na których wymalowane były bachantki, motyle i kwiaty.

Hotel „Metropol" miał tylko jedną wadę: brakło w nim kanalizacji i WC; ale ów niedostatek rekompensowany był porcelanowymi nocnikami, które dumnie czekały w pogotowiu pod każdym łóżkiem. Były to piękne naczynia ze złoconymi brzegami i wymalowanymi niezapominajkami.

Nocowałem kiedyś w pałacu księcia Sanguszki, tam również przed spaniem fagas roznosił nocne naczynia do każdego pokoju, gdzie ktoś sypiał; też były porządne te nocniki, zdaje się, że nawet z herbem, a jednak nie takie, jak w hotelu „Metropol". Takich nocników jak w hotelu „Metropol" nie było na całym świecie.

I oto ten obcy człowiek, ten przyjezdny wysiadł z fiakra pana Kurzydły, i z laseczką w ręku, i w meloniku na głowie wszedł do hotelu, a stary dorożkarz niósł za nim dwie duże walizy i zastanawiał się, dlaczego są takie ciężkie, granaty w nich się mieszczą czy kamienie? I stękając głośno, żeby otrzymać większy napiwek, zaniósł bagaż na piętro, nie pytał nawet do którego pokoju, bo już sam wiedział w jakim pokoju może się zatrzymać, taki lepszy gość z ciężkimi walizkami, na których błyszczą barwne nalepki hotelowe z całego świata.

Właściciel hotelu pan Mozes Goldherz, czyli Mojżesz Złote Serce osobiście wprowadził gościa do pokoju, żeby móc rzucić okiem i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. B y ł o w porządku, tylko gość był trochę dziwny, mrukliwy, niechętny do rozmowy. Każde słowo trzeba mu było wydrzeć z gardła, a hotelarz koniecznie chciał się czegoś dowiedzieć o przyjezdnym i natarczywie podsuwał różne pytania, na które tamten w ogóle nie miał zamiaru odpowiadać — nie mówił „tak" i nie mówił „nie", ssał swoje grube cygaro, dymił jak łazienny komin i milczał. No, ale pan Mozes nie należał do tych, których można się łatwo pozbyć. Musiał tego gościa rozgryźć, nie takich już tu miał i poradził sobie z nimi. Agentem handlowym ani akwizytorem ten gość nie był, agenci nie palili takich cygar. Katolikiem nie był, bo by zamieszkał w Hotelu pod Opatrznością Boską. Może przyjechał do rabina po błogostawieństwo! Też nie.

Gubiąc się w domysłach, hotelarz zrezygnował z emocji odgadywania i sięgnął do środków ostatecznych: przyniósł książkę hotelową, pióro i atrament, i wtedy tamten musiał skapitulować. Nie spiesząc się i nie wyjmując cygara z ust, usiadł i napisał swoje imię i nazwisko. Nazwisko było w Miasteczku znane, ale imię było już zmienione, nietutejsze, imię które zabrzmiało jak echo nieznanego świata, jak poszum dalekich oceanów: Harry. A obok imienia i nazwiska napisał swój stały adres, z numerem domu na Second Avenue w Nowym Jorku.

No, i zaraz gruchnęła wieść, potoczyła się przez miasto, przez bożnicę, przez sklepy i krawieckie warsztaty, przez knajpę Elowej na Jamie, przez Kawiarnię Dampfa i przez całą ulicę Berka Joselewicza — wieść jak rażenie gromem, jak pożar, jak trzęsienie ziemi.

Mozes Goldherz biegł przez Miasteczko z obłędnym wzrokiem i wymachiwał rękoma, jąkał się z wrażenia, to znów słowa buchały z niego jak lawa z wulkanu, toczyły się jak lawina ze stoków wysokich gór, dławił się nimi, a nie było nikogo, kto by mu zechciał podać łyk wody.

A potem wieść podjęli inni. Obłąkany Maks biegł tą samą drogą, tylko w przeciwym kierunku, on też powtarzał tę samą nowię i on też się jąkał; jaskółki śmigały z radości i leciały do Sanu umyć białe podbrzusza; koń Juci Tragarza zarżał głośno, wypróżnił się, machnął ogonem i popędził jak wicher; policjant z paskiem pod brodą stał na rogu koło sklepu Hasenganga i coś węszył, coś czuł, wyraźnie coś śmierdziało, ale nie wiedział co, przeczuwał, że coś się dzieje, nie wiedział co te Żydki dziś wyrabiają, co tak latają jakby im kto pieprzu nasypał, stał więc i rozglądał się, a potem machnął ręką i poszedł na piwo, bo miał pragnienie.

A więc całe Miasteczko wiedziało już kto przyjechał z Ameryki, a ostatnim, do którego ta podniecająca wiadomość dotarła, był brat przyjezdnego, a mój ojciec, który

akurat wtedy zajęty był majsterkowaniem, w jednej ręce trzymał młotek, a w drugiej deskę, robił jakiś mebelek do kuchni. Stał spokojnie, nie przerywając swojego zajęcia i nie odrywając wzroku od kawałka heblowanej deski. I tylko zapytał:

— Przyjechał? Szlag by go trafił, czego on tu szuka?

Moja już niemłoda, a wciąż jeszcze piękna matka, stojąca jak zwykle przy kuchni, spojrzała na niego z wyrzutem. Ale czyż mogła wiedzieć, jak bardzo potrafią się nienawidzieć dwaj bracia, zakochani w jednej kobiecie, bo oni obydwaj kiedyś kochali moją matkę i młodszy starszemu bratu ustąpił, i wyjechał za morze.

Ojciec patrzał spode łba na matkę, która ostro zabrała się do sprzątania i szorowania, opędzając się od natrętnych sąsiadów, którzy walili tłumami, otwierali drzwi, zaglądali do środka, pytali czy już był i co przyniósł, a skoro jeszcze nie był, to k i e d y wreszcie przyjdzie, tracili cierpliwość, odgadywali jakie prezenty przyniesie, chyba nie będzie wszystkiego nosił w rękach. Kurzydło fiakrem przywiezie, albo Juci Tragarz furmanką.

A ojciec wciąż głośniej i głośniej stukał młotkiem, żeby zagłuszyć ten jazgot, a oni też głośniej, żeby jego stukanie przekrzyczeć i coraz bardziej to ojca złościło. Milczał, ale już zgrzytał zębami, a matka biegała po sąsiadach pożyczać pieniądze na przyjęcie dla znakomitego gościa. I wnet kura żółciutka pojawiła się na horyzoncie i — chlup do garnka! Kompot ze śliwek węgierskich zabulgotał wesoło, zapachniało nagle bogactwem i makaronem żółciutkim jak szafran, bo na jajkach. Ojciec pociągał nosem, wąsem ruszał śmiesznie, jakby go coś łaskotało na górnej wardze. Udobruchał się, przeszło mu.

Niby nic jeszcze nie zaszło, a przecież uroczystością i świętem kipiało i syczało na kuchni.

Napięcie rosło. Sąsiedzi i w ogóle pół Miasteczka okrążyło nasz dom. Zazdrość wyłaziła ludziom z oczu, nie użyczyli nam tego jednego stryja, który siedział w hotelu „Metropol" i palił grube kubańskie cygaro.

Sąsiedzi szaleli. Ktoś z obleśnym uśmieszkiem zapytał, czy aby kura będzie dosyć miękka. Inny łyżki srebrne przyniósł i widelce. Ktoś zaofiarował się i moździerz ciężki z tłuczkiem przytaszczył, bo może się przydać, a nawet złotą broszkę ktoś mamie przyszpilił, żeby w tym ładniej wyglądała. Sąsiedzi stali i gapili się, psuli powietrze w kuchni, w sieni i na podwórku. Obliczali j e g o majątek, jego aktywa, jego dolary, jego miliony nowojorskie, jego książeczki czekowe i akcje, na których przepłynął przez ocean. Obliczali także n a s z e dolary, te które on dla nas przywiózł w dwóch ciężkich skórzanych walizach, co je Kurzydło razem z Mozesem Goldherzem ledwo wytaszczyli z dorożki. Obliczali i obliczali te setki, te tysiące, setki tysięcy, które teraz mój ojciec ma już w kieszeni, w efektach, w papierach wartościowych i w złocie. Zagadywali ojca i radzili mu, gdzie najlepiej ulokować kapitał i jaką kamienicę warto kupić. A ojciec nic, tylko młotkiem wali, żeby ich wystraszyć i wypędzić.

Po południu kura już była miękka, na stole stały szabasowe świeczniki, wypucowane i błyszczące jak złoto. Sąsiedzi rozeszli się: matka wyciągnęła z kufra czarną aksamitną suknię, pachnącą naftaliną i starymi czasami. Bardzo jej w tej sukni było ładnie. Ojciec siedział na progu i palił fajkę. Rudą, siwiejącą brodę nastawił do zachodzącego słoneczka i przyglądał się czemuś dalekiemu — zawsze gdy był zamyślony, zdawało mi się, że patrzy ponad głowy ludzkie i ponad dachy domów, i że tam daleko, daleko, daleko widzi coś, czego nikt nie widzi i czego w rzeczywistości nie ma. Młody jeszcze wtedy byłem, nie wiedziałem, że pewnego dnia ja również zacznę patrzeć na ten daleki i niewidzialny pejzaż, i że ja również pewnego dnia będę widział rzeczy, których nie ma, a nawet będę się tymi nie istniejącymi rzeczami zachwycać i pasjonować, i opisywać ich kształty, wymiary, kolory, zapachy.

Słoneczko zaszło, kramarze z turkotem zamykali sklepiki i biegli do bożnicy.

— Jak masz iść, to idź! powiedziała mama, i ojciec oczywiście wiedział dokąd ma iść, zawsze doskonale się rozumieli oboje. Wiedział i ja też wiedziałem, że nie o co innego jej chodziło, tylko o to, żeby poszedł wreszcie do hotelu, i żeby przyprowadził tego kochanego braciszka. Ona zrobiła już wszystko co do niej należało, reszta należy do niego, do ojca.

I on poszedł; nacisnął na oczy ten swój zdefasonowany, niegdyś czarny, a obecnie aż szmaragdowy ze starości kapelusz i narzucił marynarkę na ramiona, i tak jak codziennie rano chodził do roboty, tak jakby to nie był święty piątkowy wieczór i tak jakby to nie był dzień przyjazdu rodzonego brata, poszedł w stronę hotelu. Maszerował środkiem jezdni, a nie trotuarem, udawał, że nikogo nie widzi po to, żeby móc z nikim nie rozmawiać, i żeby przez nikogo nie być nagabywany. Patrzył prosto przed siebie, na te swoje dalekie horyzonty, których nikt nie widział; a gdy doszedł do hotelu nawet nie skinął głową i nawet nie spojrzał na Mozesa, który stał przy bramie. Wszedł do środka, stąpał ciężko po schodach pokrytych czerwonym dywanikiem, a gdy znalazł się na piętrze, otwierał po kolei jedne drzwi za drugimi, aż wreszcie w szóstym czy siódmym pokoju zobaczył człowieka siedzącego przy stole, w meloniku na głowie i z cygarem w zębach; cygaro było grube i mocno pachniało, a on, stryj siedział w takiej samej pozycji, w jakiej rano, a więc przed wielu godzinami, zostawił go Mojżesz Złote Serce. Wyglądał tak, jakby przez ten cały czas nie ruszał się z miejsca, to samo tlące cygaro trzymając od rana między zębami. Można było pomyśleć, że po to tylko przyjechał z Ameryki, żeby siedzieć w tym pokoju z tapetami i białym łóżkiem, i palić cygaro.

Ojciec zamknął za sobą drzwi. Mojżesz Złote Serce, który towarzyszył mu po schodach niepostrzeżenie jak cień przyłożył oko do dziurki od klucza, ale nic nie zobaczył. Przyłożył ucho i nic nie usłyszał. Wyglądało na to, że ci dwaj tam w środku nie zamienili ze sobą ani słowa. Mojżesz Złote Serce zapewniał, że oni rzeczywiście nic nie mówili, bo przecież nie jest do pomyślenia, żeby mówili szeptem. A gdyby nawet mówili tylko półgłosem, on też musiałby coś usłyszeć, miał duże doświadczenie w podsłuchiwaniu, a tym razem ze środka nie dochodził żaden głos, żaden szmer.

Za oknami, na ulicy i nad domami Miasteczka zmierzch zamieniał się w wieczór; wieczór osiadał na tapetach i firankach. Półmrok ocieniał ich twarze, a oni milczeli, wpatrzeni każdy w swój własny świat i swój własny krajobraz. Może o tym samym myśleli, może o sobie, może o różnych innych sprawach. Nie zamienili pocałunku ani uścisku ręki. Hotelarz przysięgał na niebo i piekło, że nie zamienili ani jednego słowa. I ja w to wierzę.

Kiedy ojciec wrócił do domu był już późny wieczór. Matka siedziała przy kuchni, głowę miała opuszczoną, patrzyła na swoje ręce splecione na podołku. Poruszyła się, kiedy ojciec wszedł, ale nie zapytała o nic.

Ojciec zdjął marynarkę, spokojnie powiesił ją na gwoździu i podszedł do stołu. Świece w lichtarzu dopalały się, ich płomyczki niespokojnie konały; gasły jak człowiek, któremu brak już sił do życia.

Mama zaczęła podawać do stołu, napełniała talerze złocistym pachnącym rosołem. Jedno nakrycie pozostało niepotrzebne.

— Zabierz to! — powiedział ojciec i ażeby złagodzić ponure brzmienie głosu, popatrzył na matkę i dodał łaskawie: Bardzo dobry rosół: czy mogłabyś mi dodać chochelkę?

Nie tylko rosół był bardzo dobry, kura też była znakomita, krucha i świetnie przyrządzona, mama umiała te rzeczy robić. Kolacja była doskonała i nie przejmowałem się tym, że spożywaliśmy ją w całkowitym milczeniu. Było cicho, słychać było jak ojciec miażdży zębami kruche kurze kości — zęby miał wspaniałe, białe i zdrowe, wilcze zęby.

W ten wieczór poszedłem spać z miłym uczuciem dosytu — byłem obżarty jak książę Radziwiłł. Ale nie wiedziałem i nigdy już nie miałem się dowiedzieć, czy i o czym owego dnia o zmierzchu rozmawiał mój ojciec ze swoim bratem. Harry wyjechał po dwóch dniach, a do naszego domu nawet nie zajrzał. Nie było prezentów.

Jeśli chodzi o mnie, zrozumiałem go dopiero po wielu latach, kiedy ja sam powróciłem do tego Miasteczka, zatrzymałem się w hotelu na kilka godzin i nikt nie słyszał, bym z kimkolwiek rozmawiał i nikt nie widział, by ktokolwiek mnie odwiedzał.

Stryja Harry'ego widziałem wtedy z daleka: siedział rozparty w fiakrze pana Kurzydły i palił cygaro. Obok niego sztorcem stały jego dwie walizy.

Twarzy stryja nie zapamiętałem. Może wcale jej nie miał, a może ja jeszcze wtenczas nie posiadałem klucza dla jej zrozumienia i dlatego nie zapamiętałem niczego więcej, tylko te kłęby fioletowego dymu, buchającego z jego ust.

Korespondencja w sprawie publikacji „Wkład do kultury narodowej"

Podjęcie tematu: „Wkład do kultury narodowej" — badaczy i uczonych, przede wszystkim humanistów z terenu dzisiejszego woj. rzeszowskiego — to rzecz bardzo potrzebna; chociażby tylko z wieków XIX i XX. Mało, bardzo pożądana i wysoce ambitna. Naturalnie w sensie naukowym. Ale wydaje mi się, że za ambitna jak na artykuł prasowy. A mam na myśli artykuł Aleksandra Żygi, zamieszczony w „Widnokręgu" nr 29"66 (z 24 VII br.). Taki artykuł siłą faktu musi być migawkowym szkicem.

Nie myślę się ustosunkowywać do całego artykułu A. Żygi, a przede wszystkim do białych plam, nie uniknionych w tego rodzaju ujęciu. Natomiast wspomnę kilka momentów, dobrze mi znanych, z którymi byłem związany.

A. Żyga pisze w kolumnie 5, licząc od lewej — „Na boku pozostawała przez długi czas (tj. w Rzeszowie) historia, mimo znajdującego się tu archiwum wojewódzkiego". Otóż w tym zdaniu, zresztą niepełnym, są aż dwie nieścisłości. Archiwum wojewódzkie do dziś i od samego początku znajduje się w Przemyślu, nawet jego rzeszowski oddział został uruchomiony dość późno. Co zaś do wydawnictw historycznych, to — czy przypadkiem nie Rzeszów właśnie w tym kierunku postawił pierwsze kroki? Przecież już w r. 1947 ukazuje się tu pierwsza po wojnie pozycja książkowa „Z dziejów Rzeszowa 1939—1944", w następnym roku nawet dwie: „Rzeszowskie w dobie Wiosny Ludów" i Ustawa dla wsi Świlczy i Woliczki z r. ok. 1628". Te jeszcze skromne początki — akcja T-wa Przyjaciół Nauki i Sztuki — poprzedziły już poważną pozycję, jeśli przedmowę do niej napisał tej miary historyk, co Stanisław Herbst. Chodzi tu o „Pięć wieków miasta Rzeszowa" (zresztą z mylnie podanym redaktorstwem), wydaną przez PWN w r. 1958 (stron 332). I wreszcie, w międzyczasie w różnych wydawnictwach zbiorowych ukazało się sporo artykułów jak najbardziej historycznych.

W tejże samej 5 kolumnie autor pisze: „Na czoło wysunęły się w tej dziedzinie — tj. w archeologii, etnografii i folklorystyce — przede wszystkim ludzie związani z miejscowymi muzeami w Rzeszowie i Przemyślu: Władysław Kunisz i Franciszek Kotula". Z układu sformułowań (cytat wiernie przytoczony) wynika, że Władysław Kunisz pracuje w Muzeum w Rzeszowie, a Franciszek Kotula w Muzeum w Przemyślu. Przeoczenie?... Faktycznie — Władysław Kunisz nie pracuje w żadnym z muzeów; po drugie, z pisarstwem nie ma nic wspólnego. Natomiast F. Kotula pracuje w Muzeum w Rzeszowie. Z Muzeum w Przemyślu zaś od szeregu lat — jako kierownik — związany jest Antoni Kunysz, autor wielu prac z zakresu archeologii i historii, a także muzealnictwa.

A teraz dla uzupełnienia obrazu. Zapewniam: nie z winy autorów nie ukazało się kilka książek, opracowanych lub redagowanych przez pracowników z Rzeszowa lub z Rzeszowem związanych. Gdyby się ukazały, ku czemu były wszelkie możliwości, podniosłyby rangę Rzeszowa jako ośrodka naukowego. Ale to już inne historie, mające źródło w innych pokładach.

FRANCISZEK KOTULA

Na naszych ekranach

Marina Vlady

To nie jest aktorka, o której życiu osobistym czy ekstrawagancjach można czytać w kolorowej prasie filmowej lub zagranicznych brukowcach. To nie jest aktorka, którą uwzględnia się w albumach dla kinomanów typu „W kręgu gwiazd i filmów" czy „Młode gwiazdy ekranu". A jednak, kiedy pojawiła się u nas pierwszy raz, mówili o niej wszyscy: ci, którzy traktują kino poważnie i ci, którzy chodzą tam dla gwiazdek czy dla amantów.

Dwa razy naśladowały ją masowo dziewczęta. Po raz pierwszy, kiedy zaprezentowała uczesanie „koński ogon" w filmie „Przed potopem" i kilka lat później, kiedy połowa polskich nastolatków w spódnicach rozpuszczała włosy „na Marinę" — po jej filmie „Czarownica".

Pamiętacie „Przed potopem", ten piękny film Cayatte'a o młodzieży zagubionej w falach zimnej wojny, uciekającej od atomowej grozy? O grupie chłopców i dziewczynie stających za zabójstwo przed sądem oraz ich rodzicach, którzy są w tym filmie właściwymi oskarżonymi? To był obraz, który otworzył niespełna siedemnastoletniej Marinie drogę do kariery artystycznej. Występowała już przed kamerą od 4 lat, ale dopiero ta rola zamkniętej w sobie, zimnej, ale jednocześnie wrażliwej dziewczyny zwraca na nią uwagę widowni, krytyki, a także reżyserów. Odtąd gra film po filmie niemal bez przerwy, stając się jedną z najbardziej popularnych aktorek francuskich.

Z tym aktorstwem to zresztą trudna sprawa. Marina ukończyła jedynie szkołę baletową, reżyserzy zaś angażowali ją głównie dla jej twarzy, gładkiej, chłodnej, jakby wykutej z lodu, o niezwykle oszczędnej mimice. Grała zatem samą siebie i nie zawsze dawało to odpowiednie rezultaty. Z biegiem czasu dopiero udoskonalił się jej sposób gry, wzbogaciły środki aktorskiego wyrazu. Być może, Marina gra zbyt wiele i zbyt często, może za mało przebiera w rolach, ale obok postaci miernych, przeciętnych stworzyła na ekranie kilka takich, które zostaną w pamięci widzów. Do takich kreacji zaliczyć należy jej rolę w filmie „Czarownica" oraz rolę w filmie włoskim „Ape Regina", za którą otrzymała główną nagrodę za najlepszą rolę kobiecą na festiwalu w Cannes w 1963 roku. Do osiągnięć aktorki niewątpliwie należały także role w „Klimatach" oraz „Księżnej de Cleves" czy „Dniach miłości".

16 lat pracy w filmie i dwukrotnie tyle ról w filmach realizowanych niemal na całej kuli ziemskiej. Grała we Włoszech i Czechosłowacji, w Japonii i Francji. Marzy, by zagrać w Związku Radzieckim.

Marzenie to ma swoje podstawy. Uważnego widza i czytelnika zaintrygował zapewne fakt, że francuska aktorka nosi rosyjskie imię. Gdy okaże się, że jej siostry nazywają się Tania, Olga i Helena, sprawa wydaje się jasna. Tak jest, Vlady to pseudonim artystyczny, Marina nazywa się Poliakow-Bajdarow i zupełnie dobrze mówi po rosyjsku.

Jej ojciec wyemigrował do Francji w okresie I wojny światowej, by stać się lotnikiem (w carskiej Rosji mu się to nie udało). Po wojnie został jednak śpiewakiem operowym i występował na wielu scenach. Jego żoną — matką Mariny i jej trzech sióstr jest znana balerina rosyjska, występująca w owych latach w paryskiej „Grand Opera".

Tradycje artystyczne jakże typowe dla rosyjskich rodzin aktorskich (niedawno pisaliśmy na tym miejscu o Wertyńskich, to samo można powiedzieć o Batałowych i innych) przeszły i tutaj z rodziców na dzieci. Córki wprawdzie zdradziły balet dla teatru, kina i telewizji, ale pozostały przecież na scenie. Obok Mariny sukcesy w filmie odnosi Tania (pseudonim artystyczny — Odile Versois), Helena i Olga grają głównie w teatrze i telewizji, choć mają na swoim koncie także sporo ról filmowych.

Tymczasem Marina realizuje swoje, a właściwie nawet rodzinne marzenie. Przygotowuje się wraz z siostrami do występu na scenie teatralnej w „Trzech siostrach" Czechowa, w inscenizacji Andre Barsacqa. Cały zespół zamierza po występach paryskich wybrać się z tym spektaklem na tournee po Związku Radzieckim.

(s)

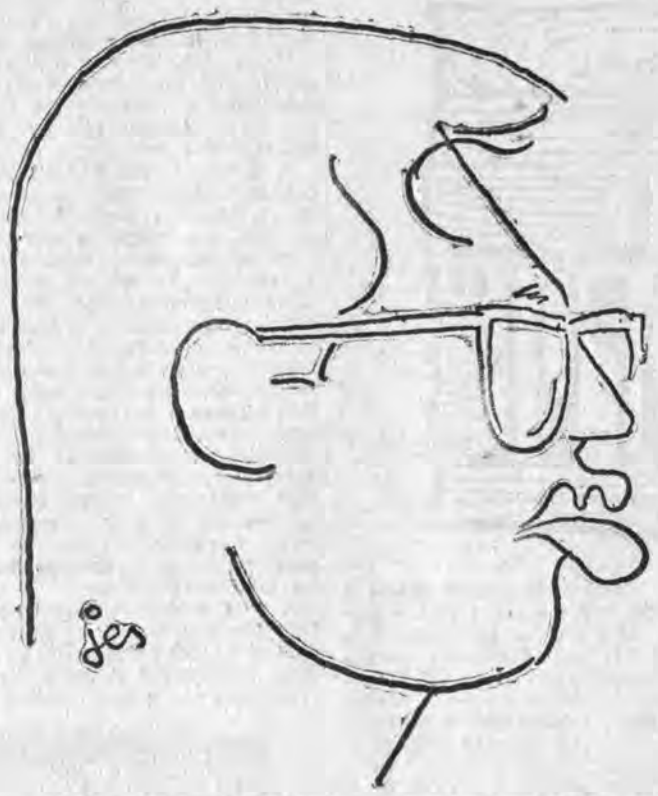

LESZEK SMOCZKIEWICZ — starszy asystent muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Jacek i Agatka — cztery lata w „Lufciku"

Ależ ten czas leci. Telewizyjna para — „Jacek i Agatka" — za dwa miesiące będzie już o cztery lata starsza. Ani Wanda Chotomska — autorka tekstów, ani Zosia Raciborska — która użycza swego głosu Jackowi i Agatce, ani też Adam Kilian — plastyk i projektant obu kukiełek nie przewidywali tak ogromnej kariery swoich uroczych bohaterów.

Jacek i Agatka stali się dla młodocianych telewidzów tak samo popularnymi postaciami, jak dla dorosłych — radiowa rodzina Matysiaków. Kukiełki Jacka i Agatki weszły już do sklepów z zabawkami, nasi milusińscy pozwalają się myć tylko za pomocą mydła „z Jackiem i Agatką", mieszkania twórców tych postaci przepełnione są dziesiątkami dziecięcych prezentów dla Jacka i Agatki. Trudno także zliczyć listy, jakie napływają do piegowatych kukiełek.

W konkursie ogłoszonym przez redakcję „Głosu Wybrzeża" na nazwę nowego placu w Gdańsku-Wrzeszczu, pierwszą nagrodę otrzymał mały mieszkaniec Gdyni — Sławek Obrzud, który zaproponował nazwę placu Jacka i Agatki... Podobno „dobranocowe" rodzeństwo posiada w kraju już kilkanaście ulic swego imienia, nadanych im przez dzieci.

Ale Jacek i Agatka są rodzeństwem skromnym, niełasym na sławę i popularność. Ostatnio natomiast, dla uczczenia pamięci najznakomitszego dziecięcego pisarza, Jana Brzechwy — Jacek i Agatka wystąpiły z apelem do dziatwy całej Polski, aby wysyłała listy — petycje do rad narodowych swoich miast i osiedli z prośbą, by nowym ulicom i placom nadawano nazwy bohaterów i popularnych postaci z utworów tego pisarza.

Wzruszającym przykładem wpływu, jaki mają na małych telewidzów Jacek z Agatką jest choćby akcja „Klub Piegowatych". Dziesiątki tysięcy dzieci, które dawniej czuły się bardzo nieszczęśliwe z racji posiadania piegów, obecnie uważają te swoje piegi za przedmiot wyjątkowej chwały. Mają więc „piegusy" swój własny hymn taniec „piegotek", mają odznaki klubowe i specjalne legitymacje, ba — posiadają nawet własny organ prasowy w „Świerszczyku" pod nazwą „Kawiarnia pod muchomorem".

Ostatnio pozazdrościły „piegusom" „okularniki". One nadal jeszcze są „przezywane" i wyśmiewane przez rówieśników. Ale Jacek i Agatka już przystąpili do działania. Jesteśmy pewni, że osiągną sukces nie mniejszy niż w sprawie piegów. Dzięki telewizyjnym bohaterom nasze dzieci pozbędą się jeszcze jednego bolesnego kompleksu.

T. J.

Józef Prutkowski: KULT JEDENASTKI, W-wa 1966 MON, s. 112, cena 8 zł.
Tomik wierszy znanego satyryka zajmującego się tematyką sportową ilustrowała Maja Berezowska.

MŁODZI PO ŚLUBIE. Wybór i opracowanie: Mirosława Parzyńska i Joanna Horodecka. W-wa 1966, Iskry, s. 304, cena 16 zł.
W 1964 r. „Życie Warszawy" ogłosiło konkurs pod tytułem: Młodzi po ślubie. Wybór fragmentów tych anket zawiera niniejsza pozycja. Tematykę książki ilustrują już same tytuły rozdziałów: Klamka zapada, Trudne lata, Droga do mieszkania, Rodzice — dzieci — rodzice, Mała stabilizacja, Gorzkie doświadczenia, Gdyby po raz drugi.

A. Spirkin: POCHODZENIE ŚWIADOMOŚCI. W-wa 1966, KiW, s. 513, cena 50 zł. Tłum. z ros. Regina Hekker.
„W pracy niniejszej autor stawia sobie za zadanie rozpatrzenie problemu prehistorii świadomości i jej powstawania, analizę procesu przeobrażania się czynności psychicznej zwierząt w świadomość stadną i świadomości stadnej — w specyficznie ludzką, jak również pokazanie kierunku, w jakim odbywał się rozwój świadomości od jej zarania do wiedzy filozoficzno-naukowej ujętej w formie kategorii logicznych".

Martin Gardner: PSEUDONAUKA I PSEUDOUCZENI. Przeł. z ang. Bronisław Krzyżanowski i Włodzimierz Zonn. W-wa 1966 PWN, s. 34, cena 32 zł.
Amerykański pisarz i popularyzator nauki poświęcił swą książkę maniactwom naukowym dotyczącym wielu dziedzin: astronomii, geologii, fizyki, biologii, psychologii i in.
O ludziach, którzy tracą wiele czasu i energii na coś, co w ich rozumieniu jest nauką oraz o żerujących na naiwności ludzkiej oszustach.

Józef Sobiesiak: BRYGADA „GRUNWALD". Wyd. II. W-wa 1966, MON, s. 308, cena 22 zł.
Pozycja ta jest trzecią — po „Ziemia płonie" i „Burzany" — częścią epopei partyzanckiej, której akcja rozgrywa się w latach 1939—1944, początkowo na terenie Wołynia, a w omawianej powieści na terenie Kielecczyzny.
Książka fascynuje barwnością opisów scen batalistycznych; posiada również charakter dokumentu.

Kazimierz Radziwończyk: ZBRODNIE GENERAŁA STRECKENBACHA. W-wa 1966 ZAP, s. 260, cena 25 zł. Wykresy.
„Kronika" zbrodni Bruno Streckenbacha na podstawie dokumentów archiwalnych i opublikowanych.
Niektóre opisywane wypadki rozgrywają się na terenie dzisiejszego woj. rzeszowskiego.

„...Czeka rzeka czeka las..."

Fot. CAF

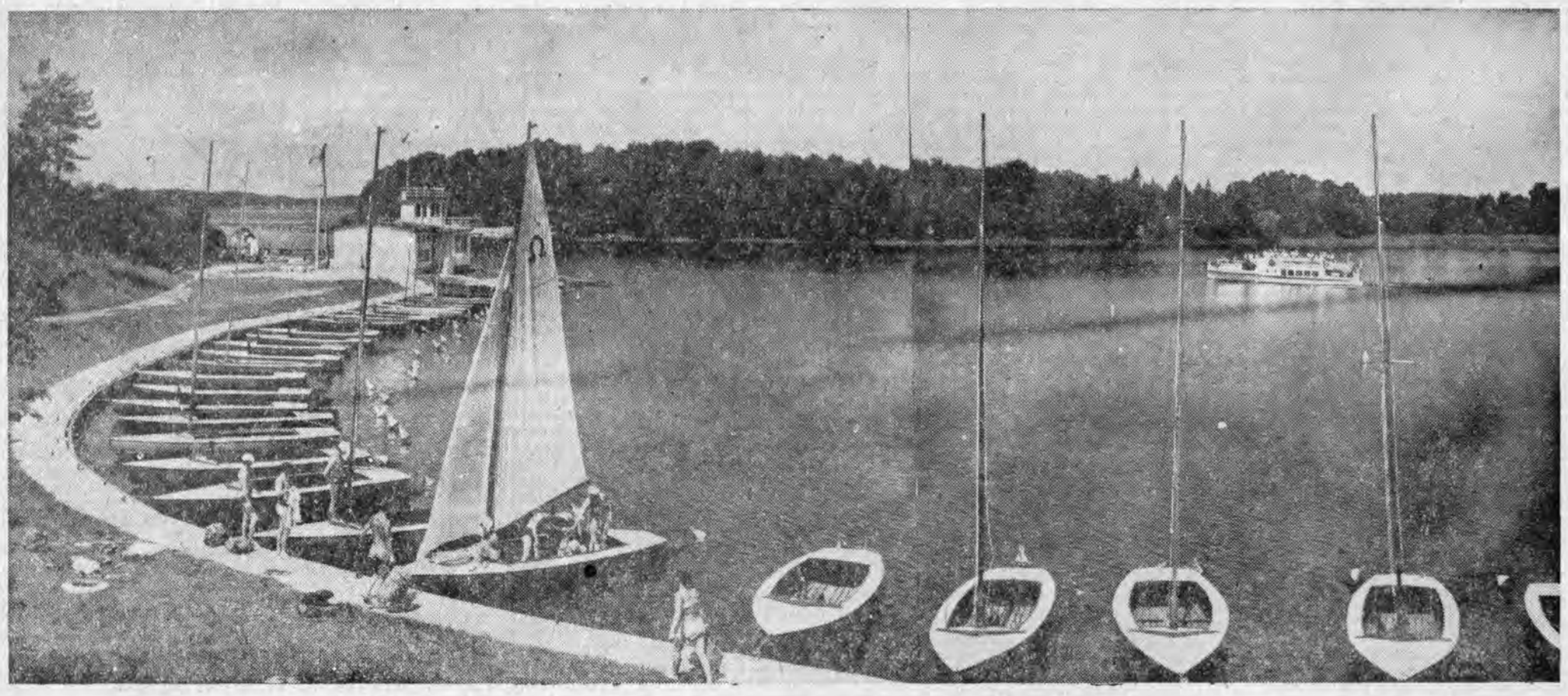

... Wydawnictwo ... — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.